

# Kamena

LUBLIN 30.VI.1966 Nr 12 (345) R. XXXIII

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## KONGRES KULTURY POLSKIEJ

**W** PAŹDZIERNIKU br. odbędzie się Kongres Kultury Polskiej. W Warszawie spotkają się twórcy, artyści, działacze kulturalni z całego kraju. Kongres ukaze integracyjny charakter współczesnej kultury polskiej, obejmującej również wielostronną działalność ruchu amatorskiego, dążenia do humanizacji stosunków międzyludzkich, ukaze aktywizację zaniedbanych dawniej środowisk, a także jedność Ziemi Zachodnich z całym krajem.

Celem Kongresu jest zadokumentowanie, że Polska Ludowa otacza pieczołowitą opieką ponad tysiącletni dorobek polskiej kultury materialnej i duchowej, że to dziedzictwo pomnaża, że nasza kultura narodowa, związana z postępowymi nurtami kultury ogólnoludzkiej, dała i daje poważny wkład w dorobek światowy.

Tej wielkiej ogólnonarodowej manifestacji towarzyszą prace przygotowawcze. W poszczególnych miastach wojewódzkich odbywają się sejmiki, na których dokonuje się podsumowania osiągnięć na polu kultury, wybiera delegatów na Kongres.

Wojewódzki Sejmik Kulturalny w Lublinie, który odbył się 12 bm., zgromadził ponad 500 osób, w tym 410 delegatów wybranych na sejmikach powiatowych.

Otwarcia obrad dokonał przewodniczący Prezydium WRN mgr Paweł Dąbek, referat o postępowych tradycjach i rozwoju kultury na Lubelszczyźnie wygłosił przewodniczący WK FJN, I sekretarz KW PZPR, Władysław Kozdra.

Obaj mówcy podkreślali, że Lubelszczyzna może się szczycić zarówno swą przeszłością jak i osiągnięciami na polu kultury w okresie Polski Ludowej. W naszym województwie działa dziś 1600 placówek kulturalno-oświatowych, tj. 15 proc. wszystkich tego typu placówek wiejskich w całym kraju. Na Ziemi Lubelskiej istnieje 40 proc. krajowej sieci szkolnych ośrodków pracy kulturalno-oświatowej. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba zespołów oświatowych i artystycznych wzrosła czterokrotnie, do 2,5 tysiąca.

Nad referatem wywiązała się dyskusja, zabierali głos przedstawiciele poszczególnych środowisk.

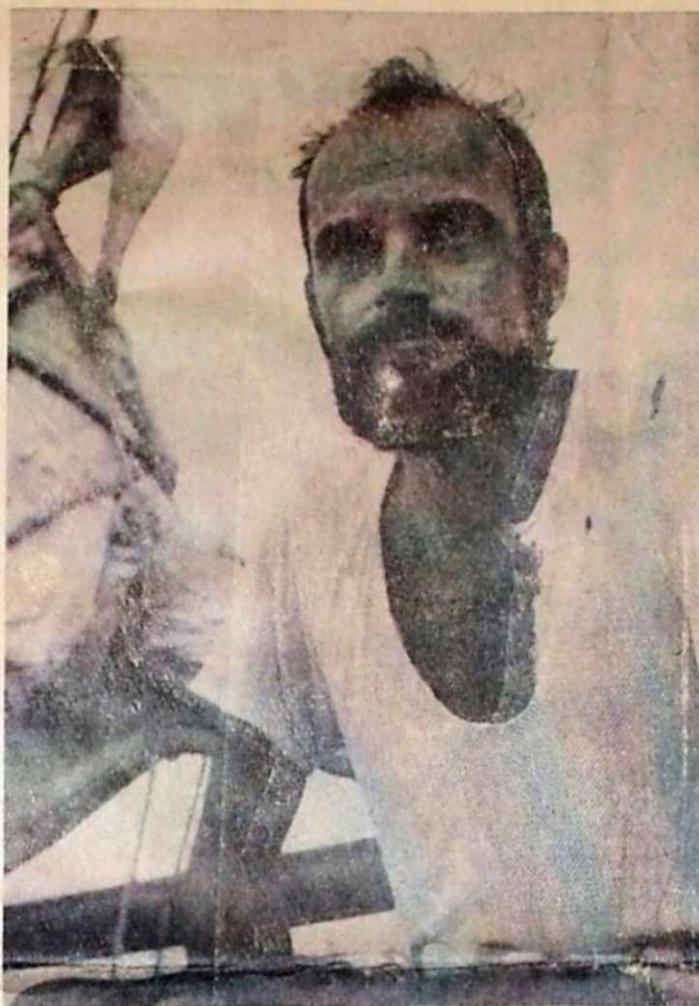
Po wyborze 50 delegatów Lubelszczyzny na Kongres Kultury Polskiej zebrani zaaprobowali tekst listu do Komisji Programowej Kongresu.

Kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN mgr Zbigniew Frać, stwierdził na marginesie przygotowania do Kongresu:

— Okres, poprzedzający Kongres, pragniemy uczcić trwałymi faktami kulturalnymi, przez które rozumie my uruchamianie różnego rodzaju placówek kulturalno-oświatowych. Nastąpi więc otwarcie muzeum Józefa Czechowicza oraz zostanie położony kamień węgielny pod pomnik tego poety. W październiku przewidujemy otwarcie muzeum Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej oraz zorganizowanie ogólnopolskiej sesji poświęconej związkowi pisarza z Lubelszczyzną. Jesienią br. zostanie uporządkowana Rotunda Zamajska — miejsce kaziń wielu Polaków, zamęczonych przez hitlerowców.

Z przywołanych imprez warto wspomnieć o ogólnopolskim festiwalu jednego aktora oraz dwóch ogólnopolskich plenerach poświęconych plęknemu Roztocza oraz powstającym Pulawskim Zakładom Azolowym. Teatr im. J. Osterwy przygotowuje wystawę pamiątek po wielkim patronie.

## W Dniach Morza o s/y „Śmiały“ — str. 5



**W** SPRAWIE tej nie ma jasności nawet wśród najbardziej zainteresowanych. Wycieczka dla literatów? A jakież z tego korzyści? Ci, którzy spodziewają się doraźnych efektów, którzy oczekują, że „zapłodni“ wyobraźnię — jak to się popularnie mówi — że tuż po jej zakończeniu ten i ów zasiądzie nad stosikiem papieru i „spłodzi“ dzieło — muszą się rozczarować. Zawiedzie się i niejeden autor, jeśli sobie nieopatrnie coś takiego założy. Bo to wynika ze specyfiki pracy twórczej. Ci, natomiast, którzy wychodzą z założenia, że współczesny pisarz nie może nie wiedzieć, co się w jego kraju dzieje, czym ten kraj żyje na co dzień, jaka jest jego aktualna rzeczywistość, jego oblicze teraźniejsze i perspektywy — rozumują słusznie i pomagają kształtować się świadomości pisarskiej, podejmują trud sensowny, potrzebny i nie, na marne.

W takiej sytuacji znalazł się Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, pospolu z władzami ZMS i Ministerstwem Kultury i Sztuki, decydując się na imprezę, która się niedawno odbyła — ów rajd młodych po Polsce. Wycieczek literackich było już podobno kilka. Ta różni się od poprzednich tym, że wzięli w niej udział członkowie kół literackich i klubów, istniejących przy poszczególnych oddziałach ZLP. A więc adepci niemal że, debiutanci, ludzie stojący u początków kariery. Zainteresowanie, jakie okazuje się tej młodzieży, to chyba jeden z najbardziej pozytywnych objawów ostatniego okresu. Obserwując z bliska tylko maleńki wycinek tego problemu — podwórko lubelskie, lecz już i na tej podstawie mogę stwierdzić, że dzięki tej niespodziewanej przychylności znowu zaczęły bić źródła, które były na wyschnięciu.

Lubelski Klub Literacki nie jest zjawiskiem typowym. Wskutek wieloletniej obojętności, a mówiąc otwarcie — niewłaściwej polityki, wiele osób z tutejszego środowiska nie spełniło wymogów, pozwalających na przynależność do Związku. Stracili wiarę, zalamali się, zagonili w pracy zarobkowej, przestali pisać lub pisali chaotycznie, niekonsekwentnie, nie kończąc tego, co zaczęli; bez nadziei na wydanie — wyjechali.

Różnie było. Nie ma książek, to nie ma i o czym mówić. Wysoką przeciętną wieku członków lubelskiego oddziału ZLP wiele nasuwa refleksji: ile lat nie oglądali się oni za siebie, nie myśleli o następach...

Na szczęście dziś jest inaczej. Ale półtora roku nowej atmosfery nie eksploduje zaraz rewelacjami.

Podkreślono na wstępie, że nie jest to wycieczka majówka, ale ciężka szkoleniowo-poznawcza wyprawa, wymagająca mobilizacji fizycznej i umysłowej. W ciągu dwóch dni 30-osobowa grupa przetrwała się z Warszawy do płockiej petrochemii, stamtąd do kombinatu azotowego w Pulawach, by na wieczór 24 maja stanąć w Lublinie. Lublin obiecywał sobie wiele po tej wizycie. Pragmatyśmy szczerzy, półprywatnych rozmów, wymiany doświadczeń, dyskusji, rozszyfrowania wielu nazwisk, zajrzenia sobie w oczy, w zbiórki wierszy i opowiadań. Niestety, nic takiego się nie stało, bo na to wszystko nie starczyło czasu. „Songi pana Brechta“

## Problemy lubelskiej turystyki

### Przegapienie wzbronione!

JANUSZ DANIELAK

**W** OSTATNICH latach ruch turystyczny narasta jak lawina. Teoretycy widzą przyczyny tego w postępującej urbanizacji i uprzemysłowieniu. Idący za tym wzrost zamożności pozwala na realizację „instynktu wędrowania”. Ponadto warunki życia w dużym mieście zmuszają niejako do ucieczki, choćby na dwa tygodnie... Ułatwia ją rozwój nowoczesnej komunikacji.

Ten lawinowy ruch zaczyna obejmować kraje i regiony, które do niedawna były pod tym względem „białymi plamami”. Zaczynają zmieniać się kryteria „atrakcyjności turystycznej”. Oczywiście, wciąż ważne są: klimat, ukształtowanie terenu, woda, las, zabytki historyczne. Ale coraz większą rolę zaczyna odgrywać łaknienie ciszy i spokoju, także ciekawość (jak żyją inni?), poszukiwanie swobody — tak bardzo skrepowanej rygorami życia miejskiego. Zresztą w krajach zachodnich „camping” koszmarnych rozmiarów z regulacją ruchu jak na Marszałkowskiej, biwaki w przydrożnych rowach (bo lasy są ogrodzone) niweczą w niemałym mierze urok turystyki. Niedarmo cudzoziemcy tak często pod-

(Dokończenie na str. 7)

### Kazimierz na zakręcie

MIROSLAW DERECKI

**K** ONESERZY są zdania, że Kazimierz nad Wisłą urzeka przede wszystkim swoją nierealnością. Urzeka nas chyba także pozorem prymitywu, z równoczesnym jednak zagwarantowaniem zdobyczy cywilizacji: światła i kina. Gwarantuje też Kazimierz obfitość i różnorodność wrażeń: codzienne wypadki w krainę dzieciństwa, historii, albo w krainę przyrody (śródlęsnomorskiej), albo w regiony snobizmu: w okolice Pruskowskiego, Kuncewiczowej, Rudnickiego. To całodzienne relaksowe samookłamywanie osiąga niejako swój szczyt wieczorem w kinie „Wisła”, dawnej synagodze. Kontemplacja X Muzy w przybytku religii Abrahama.

Ładne dziewczyny zjeżdżają do Kazimierza indywidualnie lub grupowo w ramach szkolnych plenerów malarskich i architektonicznych. Od dobrych dziesięciu lat charakterystuje się Kazimierz dużą liczbą młodzieży artystycznej, która spędza tutaj wakacje. Kazimierz może być drogi, ale można tu również przeżyć bardzo tanio. Ma posmak kurortu i swój romantyczny prymitywizm. Przed wojną obfitował w malarzy, dziś więcej tu dziennikarzy i architektów. Przede wszystkim

(Ciąg dalszy na str. 7)

## LITERACKIM DYSZLEM

MATYŁDA WEŁNA

nie odniosłam tego wrażenia nadmiaru, na jaki utyskiwali inni. Kiedy bowiem na samym końcu, w sali jadalnej zamku na Pleskowej Skale, usiłowaliśmy się rozpatrzeć w tych setkach przebytych kilometrów, ktoś się poskarżył: „Polska w fotoplastikonie”... Jest w tym sporo racji, jak i w innych uwagach krytycznych, które wtedy padły, lecz ileż plusów!

Kto chciał patrzeć, ten się napatrzył. Kto chciał słuchać, było co posłuchać. Kto miał wolę nauczania się czegoś, nie zmarł na dźwięki dźwięku dni. Trzeba spać na dobro organizatorów i gospodarzy poszczególnych regionów, że wycieczka była znakomicie przygotowana.

Podziwialiśmy więc, po pierwsze, krajobraz, jego wielką romantyczność, wspaniałe piękno tej prześlicznej pory roku. Nie dopisała co prawda pogoda, deszcz i zimno przesładowały nas, lecz — kogo za to winić? Bogaty materiał nakładał się w takich dziedzinach jak: gospodarka terenowa pewnych rejonów, zabytki, wielki

związek. W kawiarni klubu MPIK przeczytałam: „Serdecznie witamy w Przemyślu”. Pełny skład miejscowych władz podejmował nas kawą, przygotowano materiały, znów relacje o mieście, jego problemach, dorobku, ambicjach. Późną nocą, po forsownej jeździe, znaleźliśmy się w Myczkowcach, by na drugi dzień przegłądnąć się w tafli lustrzanej wielkiego zalewu. Po kilku godzinach odpoczynku — Solina: budowa hydroelektrowni, ogromnego fiordu słodkowodnego. To poruszyło każdego. Przy kolacji trzech przewodniczących powiatowych rad narodowych (Ustrzyk, Leska, Sannoka) przedstawił nam, co to znaczy — Bieszczady, w całym tego słowa znaczeniu. Długo pościągła się rozmowa, bo tej krainie tak atrakcyjnej, ale gdzie żyć jeszcze wciąż niezmiernie trudno, daleko do rozkwitu. Zobaczyliśmy w Rzeszowskim oczywiście „siarkę”. Z Tarnobrzegu skoczyliśmy do Sandomierza, bo było blisko. Nie pominieliśmy Łańcuta. Samo miasto wojewódz-

(Dokończenie na str. 4)



jako produkcją, nie skorzystali jednak na podwyżce cen swych produktów, co bida wśród nich nastrojów rozgorączczenia. Tyłże rodzin niepokoi się, ponieważ wielu młodych mężczyzn zostało powołanych do wojska i wysłanych do Wietnamu. W stosunkach między białymi a czarnymi pojawiły się nowe elementy: postępowanie Jamesa Meredith'a odbiło się głośnym echem w całym świecie.

Nawet w szeregach partii demokratycznej Johnson traci zwolenników. „Dni spokoju i ciszy z 1964 r. — kończy UPI — należą nieodwołalnie do przeszłości”.

W tej sytuacji łatwiej zrozumieć podłoże interesującego artykułu pióra E. J. Hughesa, który na łamach tygodnika „NEWSWEEK” poddał ostrej krytyce obecną politykę Waszyngtonu.

„Podróż dookoła świata roku 1966 — stwierdza autor — uczy Amerykanina niezwykle sugestywnie jednej prawdy: jeszcze raz powstała poważna przepaść między Ameryką a światem. Jest to przepaść będąca nie tylko rezultatem braku łączności — oznacza ona brak zrozumienia. A zwiększa się w dwóch wypadkach: gdy Stany Zjednoczone nie chcą przyjąć do wiadomości tego, czym niepokoi się świat, i gdy inne narody czują, że nie mogą zgodzić się z wizją świata, o której mówi USA. Lata po drugiej wojnie światowej widziały zmniejszanie się i zwiększanie tej przepaści w rytmie regulowanym nierównym krokiem przemian ogólnosiwiatowych i amerykańską odpowiedzią na nie. We wczesnych latach pięćdziesiątych przepaść ta była równa otchłani — wtedy to John Foster Dulles nauczał imperilanego purytanizmu, ostrzegając przed negocjacjami jako przed odstępstwem i określał neutralizm jak rzecz niemoralną. W miarę, gdy wiedza

o swobodzie fantasmagoria, świat i Ameryka zaczęły ponownie myśleć o zacieśnieniu swych stosunków. A z początkiem lat sześćdziesiątych wyzła inteligencja Johna Kennedy'ego wnieśli takie nadzieje, że pamięć o nim jest tak samo żywa na swatach jak i w Massachusetts.

Ale obecnie, w połowie lat sześćdziesiątych, skonstatowaliśmy — podróżując od południowej Azji po północną Europę — że przepaść ta ponownie się zwiększa. Stany Zjednoczone nie budzą w świecie gniewu (tu zapewne można dyskutować z autorem — grzeby, redi, one budzą świat. Z rzadka tylko polityka USA przeklinana jest jako nieludzka. Prawie wszędzie potępią się ją za brak realizmu. Świat wygląda jak niespokojna widownia... czekająca, by Amerykanie zrownali się z historią i zaczęli brać udział w jej kształtowaniu.

Pewnego dnia — stwierdza dalej Hughes — słyszałem zale przedstawił Zachodu w południowo-wschodniej Azji. „To będzie dla mnie trudna rzecz, gdy wrócę do Waszyngtonu — powiedział w zadumie dyplomata USA. — Tak wielu tamtejszych ludzi wierzy, że Azjaci walczą na „sprawę”, oczywiście na sprawę „antykommunizmu”. Marnowaniem czasu dowodząc, że Azjaci doceniają siłę i fakty dokonane, a nie teorię czy ideologię. A ponieważ nie wierzyli w ideologię, zaczęli nam nie wierzyć, kiedy mówimy o niej. Gdyby nasza dyplomacja martwiła się mniej o Peking, a więcej o Naddę...”.

W Paryżu — pisze autor — wyższy dyplomata francuski podejmował mnie na Quai d'Orsay godziwym wywodem na temat starzenia się amerykańskiej polityki. Opieka NATO niegdyś tak pożądana przez Francję, obecnie wydaje się nie warta a kajakami... „Niemy są waszymi lokajami, ponieważ potrzebują waszej broni. Brytyjczyści są waszymi lokajami, ponieważ potrzebują waszych pieniędzy. My jedyni jesteśmy wolni — możemy rozmawiać z Rosjanami o Europie”.

I rzeczywiście w Londynie zastałem rząd laborzystowski po stoicko lojalny wobec swych porozumień z USA. Spytalem jednego z kierowników tego rządu, jak premier uspokoił protesty przeciwko amerykańskiej polityce w Wietnamie. Ow wzruszył ramionami: „Wasz Lyndon obiecał

podziękować fantom, a nasz Harold zgodził się milczeć na temat Wietnamu. Niezbyt honorowy interes, ale dla nas nie taki zły...”.

Taki nastroj świata wyjaśnia, dlaczego amerykańska polityka w południowo-wschodniej Azji jest dla wielu obserwatorów wysoce niefortunna. Amerykańska obecność bowiem wydaje się opierać o dwie bardzo wątpliwe przesłanki. Pierwszą jest założenie, że wszyscy wolni ludzie mogą być gromadzeni pod sztandarem, na którym widnieją nie cele na przyszłość, a zacięta pięść antykomunizmu. Drugą — przekonanie, że każdy konflikt rozgrywany się pod tym sztandarem jest przede wszystkim konfliktem wojskowym a nie politycznym. Obydwa te założenia byłyby oczywiście szybko zdezawutowane przez Deana Ruskę, czy Lyndona Johnsona, ale rzecz polega nie na zamiarach tej polityki, lecz na jej rezultatach. Cytując słowa singapurskiego ministra: „Byłicie właśnie świadkami rozbięcia komunistycznej partii w Indonezji — ale nie przy pomocy amerykańskiej broni. Jeśli chcecie, by komunizm szybko odżył, wystarczą tylko udzielić nowemu reżimowi pomocy wojskowej”.

W zakończeniu konkluzja Hughesa: „W dobie rewolucyjnej jedynym słusznym prawem przemian, jest, że strategia czy argumentacja pasująca do dnia wczorajszego musi być niewłaściwa dla jutra. Jest to nieustannie prawdziwe w odniesieniu do sojuszków narodów — kiedy wróg staje się aliantem, a przyjaciel — nieprzyjacielem. Jest to nie mniej prawdziwe w odniesieniu do narodowych dążeń. Słowa w pewnym okresie jednoczące ludzi, w innym mogą ich jedynie irytować. Ważne jest historyczna szansa, wymaga od Amerykanów więcej mądrości niż to, zacząć mówić o światu o rzeczach, których świat pożąda i w języku, który rozumie, i właśnie na ten początek czeka tak wielu...”.

Jak dotąd jednak oficjalne kolo USA mówią o bombach, rakietach, mówią językiem siły. Jak to ocenia społeczeństwo amerykańskie Johnson może się łatwo przekonać studiując chociażby ankietę Gallupa, o czym wspomnieliśmy w wstępie.

## Wokół kongresu SPD

**D**ORTMUNDZKI kongres zachodniemieckiej socjaldemokracji wzbudził żywe zainteresowanie nie tylko w NRF. Sprawily to nowe akcenty, jakie pojawiły się w wystąpieniach przywódców SPD, akcenty mogące świadczyć o pewnej ewolucji ich poglądów na podstawowe problemy Niemiec i Europy.

Socjaldemokracja Niemiec zachodnich nie różniła się przez długie lata w swej polityce od rządzącej w NRF chrześcijańskiej demokracji. To zatarcie jakichkolwiek różnic między robotniczą bądź co bądź SPD, a burżuazyjną CDU wystąpiło szczególnie wyraźnie w ostatniej kampanii wyborczej. „SPD jest trochę gorszą CDU” — tłumaczyli wyborcom przywódcy chadeccy, wypkrywając socjaldemokratyczne plany podmielenia CDU w rządzeniu krajem. „Chcemy robić to samo, co CDU, tylko trochę lepiej” — bronili się przedstawiciele SPD przyznając, że zarzuty chrześcijańskich demokratów nie są pozbawione słuszności. „To samo” — oznaczało bowiem kontynuację kursu na militaryzację i broń atomową, na rewizję granic i likwidację NRD. Dobrze znanego kursu na nową awanturę wojenną. Jak miało zaś wyglądać to „trochę lepiej” demonstrowali przywódcy SPD przelicytowując swoich przeciwników z CDU żądaniami granic z 1937 r. i wierzopoddanychmi deklaracjami pod adresem USA.

SPD przegrała wybory. Społeczeństwo zachodniemieckie ma dość jednej partii, która nie rozumie przemian, jakie ogarnęły świat, nie dostrzega nieodwracalnych faktów, które zmieniły otaczającą nas rzeczywistość. Głosy na jakie liczyła SPD padły na CDU. W tej sytuacji spodziewano się, że socjaldemokracja będzie musiała wyciągnąć odpowiednio wnioski. Chodziło przede wszystkim o odpowiedź, czy SPD pozostanie nadal alternatywą dla rządów chadeckich, czy też opracuje alternatywę dla polityki CDU.

Początek kongresu w Dortmundzie zapowiadał to drugie. Nowe elementy doszły do głosu już w pierwszym wystąpieniu programowym kongresu, w referacie przewodniczącego SPD, Willy Brandta. Poddał on krytyce wiele odcinków polityki bońskiej i wypowiedział wiele ciekawych, zupełnie trzeźwych sądów na temat granicy polsko-niemieckiej i zjednoczenia Niemiec. Zresztą, uczynił to nie tylko on. Nowe akcenty zawierało programowe przemówienie wiceprzewodniczącego frakcji SPD w Bundestagu, Helmuta Schmidta i członka kierownictwa SPD, Carlo Schmidta. Wiele realistycznych wniosków zawierały wystąpienia poszczególnych delegatów.

„Niekłórnicy ludzie z Bonn — mówił np. Brandt — działają tak, jakbyśmy posiadali obszary na wschód od Odry i Nysy. Niekłórnicy ludzie działają również tak, jakbyśmy zaprzęgnięto z NRF państwa zobowiązały się do czegoś więcej niż tylko do zastrzeżeń prawnych, a niektóre z nich, jak wiadomo, nie zobowiązały się nawet do tego”.

Jeszcze wyraźniej powiedział o Helmut Schmidta. „Musimy — stwierdził — ucołnić się od służby, iż poza Niemcami jest jeszcze ktoś,

któ traktuje zjednoczenie Niemiec jako pierwszoplanowe zadanie. Nie ma także narodu, który życzyłby sobie likwidacji granicy na Odrze i Nysie”.

Do tych wystąpień nawiązywało wielu delegatów. „Złudzeniem jest nasza postawa wobec granicy z 1937 r. — powiedział np. Wilhelm

## Notes niemiecki

Moeller z południowej Hesji. — Podtrzymujemy tę fikcję przekonując się nawzajem, że może ona być ceną przetargu. Ale jak można handlować tym, czego się nie posiada? W ten sposób blokujemy sobie drogę do rozwiązania problemu niemieckiego”. Inny delegat Klaus Schulz z Berlina zachodniego wezwał SPD, aby postawiła ten problem zgodnie z interesami NRF i Europy. „Rezygnacja z granic 1937 r. nie jest żadną zdradą stanu, lecz po prostu polityką. Pojednanie z Polską, mimo wszystkie rozczarowania, leży w naszym ręku. Ale skutki pozytywne pojednania pojawią się dopiero wówczas, gdy rząd NRF powie jasno, co rozumie pod zjednoczeniem, jakie ma ono objąć terytoria i w jakich granicach. Uwolni to Polskę od koszmarnego reżymu, który jest czymś więcej niż tylko polskim wymysłem”.

Problematyka stosunków polsko-niemieckich stanowiła jeden tylko wycinek dyskusji, jaka toczyła się na kongresie. Wycinek ten był jednak bardzo charakterystyczny, ponieważ bowiem ocenił zmiany jakie pod wpływem nacisku opinii publicznej NRF zaszły w poglądach niektórych przywódców SPD. Ważne były tu nie tylko wystąpienia delegatów. Równie charakterystyczne było milczenie najbardziej zagorzalych odwetowców spośród działaczy SPD, przede wszystkim przywódcy związku przesiedleńców, Wenzla Jakscha.

Realistycznych ocen nie zabrakło w odniesieniu do innych problemów. Helmut Schmid: słusznie stwierdził, że tak Wehód jak i Zachód są zainteresowane w utrzymaniu status quo w Europie. „W tym względzie Bonn jest całkowicie izolowane — stwierdził. — Prawie we wszystkich stolicach europejskich wystąpiły nastroje odprężenia w stosunkach z państwami wschodnimi, a także zadowolenie z aktualnego stanu rzeczy w Europie. Dla sprawy zjednoczenia Niemiec jest dziś w świecie bardzo mało zainteresowania. Silniejsze są obawy przed zmianą status quo na odcinku niemieckim. Wśród narodów europejskich, tak na Wschodzie jak i na Zachodzie, ciągle żywa jest pamięć o zbrodniach hitlerowskich i na tym tle występują nastroje rezerwy i nieufności wobec NRF, a jeszcze bardziej wobec perspektyw zjednoczenia Niemiec”.

Schmidta nie wyjaśnił przy tym, że te obawy odnoszą się do zjednoczenia jakie planuje Bonn, niemniej jednak po raz pierwszy na kongresie jednej z wielkich

partii NRF padły tak prawdziwe słowa.

W wielu wystąpieniach opowiedziano się za powrotem do polskich propozycji rozbrojenowych, za nawiązaniem normalnych stosunków dyplomatycznych z państwami socjalistycznymi i znalezieniem pewnego modus vivendi z „drugą częścią Niemiec”, to znaczy z Niemiecką Republiką Demokratyczną, co już nie mogło przejść przez gardła występujących. W sumie kongres przyniósł sporą porcję niespodzianek. Mało kto spodziewał się tak wielu realistycznych głosów i tyle krytyki pod adresem rządu bońskiego, pod adresem polityki CDU, którą jeszcze rok temu SPD przyjmowała za swoją.

Czyżby miał nastąpić jakiś zasadniczy zwrot w postawie SPD, jakiś przełom w jej polityce? Uchwały, jakie na zakończeniu kongresu zostały podjęte dają na to jednoznacznie przeczącą odpowiedź. Zaden bowiem realistyczny postulat, których tak wiele padło w czasie dyskusji, nie znalazł odbicia w końcowych uchwałach, żaden wniosek nie został przyjęty jako zasada działania partii. Jak napisał jeden z dziennikarzy, śledzących obrady kongresu: padło wiele słów o konieczności „odwagi do realistycznego spojrzenia” na sytuację światową, ale we wnioskach końcowych odwagi tej zabrakło.

Tak więc SPD pozostała nadal na pozycjach zajmowanych przez CDU: prawo do granic z 1937 r., doktryna Hallsteina, udział w ogólnostrategicznym planowaniu nuklearnym, ustawodawstwo wyjątkowe i odciepienie się od żądań współdecyzji robotników w przedsiębiorstwach przemysłowych. Nie znaczy to jednak że nie się w SPD nie zmieniło. Już sam fakt, że na kongresie doszło do głosu wiele rozsądnych propozycji i uwag świadczy o pewnym procesie, który obejmuje całe społeczeństwo zachodniemieckie.

SPD dokonała poza tym ważnego manewru taktycznego. W zależności od rozwoju sytuacji w NRF będzie mogła tak kształtować swoją politykę, aby objąć swoimi wpływami jak największą część społeczeństwa. Podstawowym bowiem celem SPD jest objęcie władzy w Niemczech zachodnich. Kongres w Dortmundzie świadczy o tym, że kierownictwo SPD już rozpoczęło przygotowania do następnej grywki wyborczej.

(jb)

## ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

tak wielbłem krynie twoje aż łech biel się we mnie zatarał ziemia w stogi upięta stoi ryby w górę płyną do tarła

jeśli owoc przed czasem spadnie to podróży weźmie do domu niechaj trochę zostanie dla mnie przecież zawsze jestem łakomy

gdy dojdiesz do kamienia kamień jest jak drzewo a gdy dojdiesz do drzewa to drzewo runęło

## Przegląd prasy

**S**WEGO czasu Z. Siatkowski wyprowadzał poetykę Tadeusza Różewicza między innymi od Czechowicza. Brzmiało to bardzo przekonująco. To też z wielkim zaniepokojeniem czyta się szkic autora „Niepokoju”, poświęcony Czechowiczowi, zamieszczony w miesięczniku „Poezja”. Szkic przynosi pewien zawód. Zapowiada bowiem Różewicz, że da własne odczytanie tej poezji, a w rzeczywistości porusza się po kolienach już wychodzonych, mówiąc o Czechowiczu jako o poecie prowincji. Najciekawiej brzmią słowa Różewicza o tej stronie liryki Czechowicza, która jemu samemu jest najbliższa:

„Czechowicz prawie nigdy nie „podnosi głosu”, można powiedzieć, że krzyczy swój dramat szepcąc. Czechowicz z natury jest cichy, jest sielski. Jest jak jesienny deszcz, jak opadanie liści. Nie znaczy to, że jest niewidomy i głuchy. Czechowicz cały jest oczekiwaniem. Jest napięty jak krajobraz przed burzą. Cały jest w tym nastuchiwaniu idącej burzy. Czeką na burzę, na prom, na błyskawicę. Czeką na śmierć, miłość, sławę”.

Jest tu na pewno część prawdy. Bo jest u Czechowicza i spełnienie katastrofy, jest też podniesienie głosu, kiedy trzeba. Ze nie zawsze go słyszymy należyście, to już częściowa wina poety, który przez „czechowiczowski” zapis swoich wierszy zatarał ich intonację i bogatą interpunkcję. Pod tym względem lektura utworów zapisanych według normalnej ortografii jest pouczająca.

We „Wsi Współczesnej” Roch Sulima drukuje ciekawy artykuł „Współczesna poezja chłopka”, oparty na publikacjach Wydawnictwa Lubelskiego, a więc antologii „Wiesi tworzącej” oraz na tomikach S. Buczyńskiego, J. Kapuścińskiego, W. Kuchty, B. Pietraka i J. Poeka. Uwagę autora szkicu zwraca przede wszystkim nurt polityczny lubelskiej poezji chłopkiej (Kapuściński jest przez Sulimę nieustannie liczony do poetów Lubelszczyzny), z tym, że dotyczy to

przede wszystkim twórczości przedwojennej. Była to poezja walcząca o nowy ład społeczny, a także łącząca się z polityczną emancypacją ruchu chłopkiego. Towarzyszyło temu często podkreślanie autonomizacji chłopkiej kultury, idealizacja wsi. Pisze autor:

„Idealizacja wsi odbywała się u poezji poprzez specyficzną funkcjonalność motywów: ziemi czarnej, brata oracza, wiejskiej strzechy — motywów, które funkcjonowały jako prawdy i racje określonego stanu, pierwiastki świadomości klasowej, u której podstaw tkwił mit niezniszczalnej ziemi”.

Poezja polityczna była awangardą chłopkiej twórczości w ogóle. Rok 1945 przełamuje tę sytuację zdecydowanie. Od publiczności politycznej chłopka twórczość wierszowana przechodził bardziej ku irracjonalnej poezji lirycznej o inspirowanych romantycznych. Dawniej nawet eksploatowane przez poetów chłopskich motywy zmieniają swoją funkcję, otrzymują funkcję czy sto poetycką.

A jak autor widzi dzisiejszą sytuację tej poezji? Uważa ją — i słusznie — za zjawisko reliktowe. Czytamy w artykule:

„Wobec dominujących tendencji w naszej kulturze, pisarstwo to jest treścią reliktową. Sierniężna kultura dawnej zielonoświątkowej wsi odchodzi w historię. Inny zespół potrzeb, inne motywacje przynosi i nadziewa rodzaj innej pierwiastek wieciopopładowy, ujawniający się choćby w autodefinicjach literackich młodego pokolenia wsi piskącej. W obrębie teocentrycznego wieciopopładowa reprezentowanego przez starsze pokolenie twórców zjawiają się oderwane treści nowocześnie i powodują coraz wyraźniejsze procesy dysharmonijne. Obecny uciążliwy jeszcze motyw wsi sielskiej, wsi dawnej — jest odcieniem w utopii, a ta jest sposobem zaleczenia procesów dysharmonijnych”.

A perspektywy chłopkiej poezji? Sulima odpowiada: „literatura „samorodna”, chłopka, wymienia się na wiejski temat w literaturze współczesnej”.

Czy tak jest, rzecz do dyskusji. Ważne jednak, że temat chłopkiej twórczości poetyckiej doczekał się (na przykładzie materiału z Lubelszczyzny) poważnego potraktowania.

T. K.

więc powiedz dokąd idziesz jaką wodę zwilżasz

jeszcze czasu nie było gdy istniała droga słońca też nie było cień drogi oddychał po swojemu zachęcał dlatego wyszedłem

Warszawa

HALINA BEZAK

## W Oświęcimiu

Oglądały baraki, butów cementarzysto, włosów pustynię.

Fortwarzaly: „Bez serca, bez serca...”

Lzy splukiwały kurz na polkach, gasząc smak czekolady.

Potem w restauracji jadły kołtety. Schabowe.

A ja stalam, stalam nad Wisła. Stalam sama, stalam...

## Ręce

Ręce mam czyste, ręce mam puste... Gdy przychodzisz nie mogę lech odwać od twoich dłoni.

Są jak ręce tonącego...

Pińczów

# „CZASOPISMA „TERENOWE“ UBOGI KREWNY?

O IX Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodniej, który przed miesiącem obradował w Bydgoszczy, pisaliśmy już w poprzednim numerze. Relacje ze Zjazdu ukazywały się w wielu pismach kulturalno-społecznych. „Życie Literackie” opublikowało obci fragment referatu Jana Górec-Rosińskiego pt. „Społeczna funkcja literatury a problemy upowszechniania”. Wydaje mi się, że niektóre myśli zawarte w tym referacie wykraczają poza obręb województwa zachodniego i północnych. Jan Górec-Rosiński (cytujmy już inne fragmenty) słusznie zauważa, że w dystrybucji dóbr kulturalnych nie może być zagęszczenia i pustki. Nie jest istotne, gdzie się centralizuje środki masowego przekazu, ważne natomiast jest, jaka jest ich dystrybucja, jaki system irygacyjny, czy tereny są używane równomiernie i sprawiedliwie, czy też sfera panowania kulturalnego ogranicza się do pewnych obszarów lub środowisk.

Mówi się nam nieraz — stwierdza Jan Górec-Rosiński — że zachowane zostały proporcje czasopiśmiennictwa na rzecz terenu, pism lokalnych. Ze to grozi prowincjonalizacją kultury polskiej i należy czym prędzej tworzyć nowe pisma społeczno-kulturalne w centrach kulturalnych, a konkretnie w Warszawie. Nikt z pisarzy pozawarszawskich nie jest przeciwko tym inicjatywom. Nie rozumiemy tylko, dlaczego niektórzy upadek kultury polskiej upatrują w rozwoju pism terenowych? Są to jakieś nieporozumienia. Już na Zjeździe krakowskim ci i owi kłękli na prowincję za to, że włączy w tryby wielkiej polityki. Czyżby polityka została zastrzeżona dla pewnej grupy pisarzy jako ich wyłączne tabu? Pamiętamy dobrze okresy istnienia pewnych pism. Czy pisma te obejmowały swym zasięgiem całość życia literackiego? Przeciwnie: zawsze obejmowały pewne fragmenty tego życia. Tak było w przeszłości, tak jest obecnie i prawdopodobnie tak będzie w przyszłości, gdy owe grupy utworzą własne ośrodki dyspozycji myśli. Różnorodność w kulturze jest nie mniej ważna od jedności — zarówno w skali regionalnej, narodowej, jak i powszechnej.

Jan Górec-Rosiński mówi bezosobowo, ale obserwator różnych dyskusji, uczestnik spotkań oficjalnych i towarzyskich, może pod te sformułowania podstawić odpowiednie osoby. Osobiście uważam, że tych kulturalno-społecznych czasopism wychodzących w tzw. terenie nie ma żwów tak wiele. Katowice mają „Poglądy”, Poznań „Nurt”, Gdańsk „Litera”, Bydgoszcz „Pomorze” i „Fakty i Myśli” z „Wiatrakami”, Olstyn „Warmi i Mazury”, Wrocław „Odra”, Zielona Góra „Nadodrza”, Łódź „Odgłosy”, Kraków „Życie Literackie” o zasięgu ogólnopolskim. Pisma kulturalno-spo-

leczne nie ma Szczecin („Ślomy Głos Tygodnia” posiada nieco inny charakter), a z województwa wschodniego jedynie (ciagle to dysproporcje) Lublin ma „Kamień” (tu pro domo sua), która po zawarciu z Unii Czterech używała swych lamów twórców i publicystów z sąsiednich rejonów (Białystok, Rzeszów i Kielce). Nie sądzimy jednak, aby na dłuższą metę, przy rozwoju sąsiednich województw, przy stałym wzroście ich potrzeb kulturalnych ta symbioza mogła być czymś trwałym, niezmiennym.

## MAREK ADAM JAWORSKI

Warto też dodać, że spośród wymienionych czasopism tylko dwa („Życie Literackie”, którego zresztą nie można zaliczać do grupy pism lokalnych, i „Odgłosy”) ukazują się co tydzień. Pozostałe to dwutygodniki lub miesięczniki, co siłą rzeczy zmniejsza ich oddziaływanie na społeczeństwo i wpływa na ograniczenie nakładu. Ale — zauważa Jan Górec-Rosiński i trudno się z tym nie zgodzić — „wysokość nakładu jest zawsze sprawą dyskusyjną. Tzw. „najlepsze” pisma literackie: „Dialog”, „Twórczość” nie posiadają większego nakładu niż „Odra” lub „Nurt”. Rzecz więc polega nie w ilości egzemplarzy, bo wtedy trzeba byłoby redagować „Kulisy” i „Przyjaciółkę”, ale w programie.

Jest rzeczą oczywistą, że do pism kulturalno-społecznych trzeba dopłacać. W roli mecenasa występuje tutaj państwo. Czy ta „zabawa” drogo PRL kosztuje?

Górec-Rosiński stwierdza: „Jest to nieporozumienie. Dlaczego można dopłacać do istnienia np. „Poezji”, a nie należy dopłacać do „Nurtu”? Dlaczego mamy dopłacać do biletów teatralnych lub np. każdej filharmonii, a boimy się dopłacać do egzemplarzy „Pogładów”, „Litera” lub „Odry”? Wiem, że niezbyt zasobna jest kasa państwowa, ale chciałbym tu przeciwstawić pewne hierarchie wartości: do działalności np. jednej filharmonii rocznie dopłaca się około 8 milionów złotych (jeśli chodzi o Lublin, chyba liczba zawyżona — przyp. MAJ). Do pism kulturalnych — łącznie, zdaje się, z „Dialogiem”, „Twórczością” i „Współczesnością” państwo dopłaca... 9 mln złotych. Gdy porównamy krążenie wartości — te dopłaty stają się nieporównywalne. Oczywiście, byłoby głupotą dyskutować, co spełnia większą rolę w rozwoju kultury: pismo, do którego państwo dopłaca milion złotych, czy instytucja muzyczna, wymagająca dofinansowania ośmiu milionów? Rzecz polega na rozwiązaniu pewnych obiegowych sądów, które kulturze szko-

lą: nie można bowiem jej rozpatrywać przez pryzmat złotowalniczości, chociaż krojenie budżetu kulturalnego też jest sztuką. Odeszliśmy od komercjalizacji kultury, uznaliśmy, że wymaga ona swoistych nakładów finansowych — i co do tego nie potrzebna jest żadna dyskusja”.

Pisma lokalne, i słusznie, nie chcą jednak stale występować wobec pism „warszawskich” w roli uboższego krewnego. Niestety, do rzadkości należy, aby „Kultura” — a nie tylko ją mógłbym tu wymienić — zauważała jakiś ciekawszy, czasami dyskusyjny artykuł, który ukaże się na łamach „Nadodrza”, „Nurtu” lub chociażby „Kamienia”. Czy tzw. „przeglądacze” czytują tylko artykuły X-a lub Y-a zamieszczone w czasopiśmie wielonakładowych? „Polityka” czy „Życie Literackie” i tak trafia do szerszego kręgu odbiorców i nie wymagają szerszej popularyzacji. Proszę mnie dobrze zrozumieć: „Nadodrza”, „Nurt” czy „Kamień” i tak mają swoich czytelników i nie przerosły ambicji dyktuje mi te słowa. Ale czasami przykro, gdy jakiś artykuł, zdaniem redakcji i jej przyjaciół wnoszący pewne elementy do ogólnokrajowej dyskusji na tematy kulturalne pozostaje zupełnie niezauważony. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji nawet znani publicyści warszawscy wolą coś nowego powiedzieć u siebie niż korzystać z gościnności lokalnej. A gdy do tej prasy lokalnej nawet coś napiszą i redakcja urzeczona nazwiskiem ten artykuł wydrukuje, jest to (oczywiście, nie generalizując) dziesiąta woda po kieleciu i to tym... z małej litery.

Chwała „Polityce”, że przed rokiem zaprosiła do swego lokalu redaktorów naczelnych czasopism pozawarszawskich i potem opublikowała fragmenty ich wypowiedzi. Dyskusję w tym gronie, ale już na konkretny temat, miała zorganizować „Kultura”. Termin przelotno. Jak dotąd, o 14 miesięcy... Diabli nie szybko ten czas leci!

A jest konkretny temat. Podsuwa go Górec-Rosiński pisząc: „W perspektywie formula pism regionalnych jest chyba takim samym przybliżeniem, jak formula kultury regionalno-lokalnej. Są pisma kulturalno-społeczne albo ich nie ma. Dlatego, sądzę, można nadchodzić czas, aby zacząć dyskutować nad formułą pism terenowych? Ale — to już sprawa samych środowisk i zespołów redakcyjnych. Widocznie istnieje taka sytuacja, która determinuje taki a nie inny profil pisma. Jest to profil zawsze mniej ambitny, ale kto wie, czy jego słuszność wobec obsługiwanej regionu nie jest stokrój ważniejsza, aniżeli naśladowanie pism uniwersalnych, centralnych?”

A może i bez pomocy „Kultury” podjąć ów temat? Jeśli nie przy okrytej stole to na łamach naszego „terenowego” prasy? Poddaję ten projekt pod rozwagę.



Przy zbiorniku amoniaku

## Ujarmiony azot

W POLUDNIE i wieczorem nosami czuło się taki sam zapach amoniaku. Ale na czulych aparatach pomiarowo-kontrolnych można było odczytać, że najpierw był to amoniak, przywieziony do przeprowadzania prób z bratniego Kędzierzyna — a potem już własny, puławski. W sobotę, 4 czerwca, o godz. 20 aparaty puławskich Azotów nie pozostawiały już żadnych wątpliwości: największy obiekt inwestycyjny Polski lat ostatnich rozpoczął produkcję. Ciekły amoniak powędrował do wytwórni mocznika, gdzie zamieni się w proszek, tak bardzo potrzebny, a nawet konieczny dla polskiego rolnictwa. Czy tylko dla rolnictwa?

— W Puławach produkowane będą trzy gatunki mocznika — mówi dyrektor naczelny Zakładów Azotowych mgr inż. Mieczysław Koloździej. — Oczywiście przede wszystkim nawozowy — w 1970 r. prawie milion ton amoniaku, 850 tys. ton mocznika i 1 100 tysięcy ton saletry amonowej, nie licząc prawie 900 tysięcy ton kwasu azotowego. Ale ponadto mocznik techniczny do dalszej przeróbki, na tworzywa sztuczne oraz mocznik, który będzie dodawany do mieszanki paszowej. Wstępnie zatwierdzony program chemii organicznej przewiduje produkcję 100 tysięcy ton polichlorku winylu rocznie.

— Cała Polska cieszy się ze zwycięstwa budowniczych kombinatu

jak i jego użytkowników. Ale takie zwycięstwo kosztuje. Ile?

— Puławy I około 5 350 milionów, Puławy II 4 500 milionów. Rzeczywiście dużo, nawet bardzo dużo. Ale chemia jest opłacalna. Po uruchomieniu całości nakłady inwestycyjne zwrócą się w ciągu 3—3,5 lat, a jeżeli weźmiemy pod uwagę chemię organiczną to nawet wystarczą niecałe 2 lata. W praktyce księgowi jeszcze nie przestaną zapisywać nakładów, a już pojawią się miliony zyski.

— Mówi się popularnie, że w Puławach uruchomiono pierwszą nitkę produkcji. Ale chyba któraś dziwna jest ta „nitka”?

— Rzeczywiście. Aby ta „nitka” zaczęła pracować, trzeba było wybudować ponad 50 wielkich obiektów produkcyjnych i pomocniczych, 30 km stałych dróg, 35 km torów kolejowych, 50 km stalowych rurociągów i 20 km wodnych sieci magistralnych. Pracowało nad tym ponad 20 specjalistycznych przedsiębiorstw z całej Polski. Prace wstępne przy budowie kombinatu zaczęły się w 1961 r., akt erekcyjny pod pierwszy obiekt przemysłowy umurowano w maju 1963 r. Tak więc sam zakład budowano 36 miesięcy. Druga nitka ma być przekazana do wstępnej eksploatacji w końcu czerwca, a trzecia w końcu września. Wszystko to jest możliwe dzięki nowoczesnej technice i technologii, uprzemysłowionym i oszczędnościowym metodom budownictwa, mechanizacji i automatyzacji. Ale przede wszystkim dzięki ludziom, tysiącom ludzi — robotnikom, technikom, inżynierom, ekonomistom, transportowcom, montażystom, instalatorom — zresztą trzeba by tu wymienić chyba setkę specjalizacji. Puławy II budujemy jeszcze szybciej: zaczęliśmy w sierpniu ub. r., damy pierwszą produkcję pod koniec przyszłego roku.

„Kamena” od pierwszych chwil budowy kombinatu puławskiego zajmowała się problemami i ludźmi, pracującymi przy realizacji tej olbrzymiej inwestycji. W kwietniu br. w jednym numerze zamieściliśmy dwa reportaże — Jerzego Dostaniewo i Romualda Karasia. Pokazywały one ludzi, którzy przeżywali ciężkie chwile w czasie kończącego się rozruchu technologicznego, gdy skomplikowane aparaty i urządzenia nie od razu chciały być posłuszne procesowi technologicznemu. Pisaliśmy wtedy o dramatycznych chwilach, gdy groził wybuch gazów. W poprzednim numerze ukazał się wywiad o gmachu chemii, budowanym przez Puławy dla UMCS.

Kombinat pracuje, każdy dzień przybliża go do planowanej wysokości produkcji. Już jesienią na polach polskich rolników pojawi się mocznik, wyprodukowany w Puławach.

W chwili uruchomienia produkcji puławscy chemicy, wzorem stożkowców, rozbili o jedną z maszyn butelkę szampa. Nie wiemy, jaki związek chemiczny może powstać po zmieszaniu szampa z amoniakiem. Wiemy natomiast, że w Puławach już powstaje nie tylko związek chemiczny potrzebny rolnictwu, ale że w ciągu 3 lat dokonał się wielki proces przemian, na których zyskuje nie tylko Puławy, nie tylko Lubelszczyzna, ale i cała Polska.

(Dokończenie na str. 9)

## WYMYŚLNE

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

## TANGO

W KWIETNIOWYM numerze „Dialogu” 85 r. zamieścił Jan Kott intrygującą rozprawę pt. „Rodzina Mroźka”, poświęconą nader precyzyjnie ustaleniom mroźkowych antenatów literackich. Widzi mi się, iż nie bez figlarnego uśmiechu opatrzył ten dociekliwy esej nieodżałowany Stanisław Lec wybitnie trafnym aforyzmem: „W sztuce zaczyna się Genesis od stworzenia człowieka”. Bo istotnie, któż temu zaprzeczy, nie ma w literaturze samoródtwa, tylko czy aby naprawdę właśnie „Gombrolicy i Witkacy siedzą w Mroźku, jak w Witkacym siedział Przybylski i Wypiański”? Ulegając pasji wpływoznawczej można by jeszcze wymienić przynajmniej Strindberga i Majakowskiego, ale zastanawiam się — po co? Przy fenomenalnym pisarstwie Mroźka słuszniej jest chyba mówić o zbiorowej „mądrości” pokoleń, o dojrzewaniu do odkryć i sformułowań, które stają się tak dalece „wymyślnymi” epoki, że wierna ich prezentacja nie daje się obwarować copyrightem.

Oczywiście wywody ustalające cechy „odiedziczone”, czyli ciąg-

łość nurtów artystycznych, są ogromnie ważne dla historii literatury, lecz dziś pierwszym potrzebom odpowiadają, sądzę, bardziej stwierdzenia różnic, zabieg pokrzepiający współczesnych...

Otóż zasadnicza, wyjściowa, rzecz można, różnica między Witkacym a Mroźkiem tkwi już w samej intencji ich twórczości dramatycznej.

Witkacy, nawiedzony swoją teorią Czystej Formy, pisał dramaty, by zdruzgotać tradycyjny teatr mieszczański. Witkacego obchodził przede wszystkim SZTUKA. Tajemnica istnienia, esencja jego światopoglądu, staje się w warsztacie teatralnym reformatora przede wszystkim szokującym środkiem wyrazu. Toteż teatr jego jest teatrem powstałym niejako na przekór ludziom. Od dzisiejszych inscenizacji sztuk Witkiewicza wieje smutkiem spóźnionego holdu prekursorstwa. Czas wyjął cel i treść tej dramaturgii.

Mroźek przyszedł w dobre, kiedy robota saperska została już dokonana. Nie potrzebuje być kano-

norburcą. Buduje nową, swoją formę bez halaśliwych manifestów. Teatr Mroźka jest teatrem dla ludzi, dla różnych ludzi w różnych szych warstwach. Nie nęka on widza niepokojem metafizycznym, lecz absorbuje jego myśl całym doczesnym, ziemskim, konkretnym, choć ujętym w metafory, problemami: politycznymi, socjalnymi, moralnymi. Właśnie połączenie nietypowych sytuacji i „egzotycznej” niekiedy metaforyki z podstawową materią realistyczną stanowi o oryginalności tego teatru i o jego wzięciu.

Ale mówmy już tylko o „Tangu”.

Do momentu napisania tej sztuki Mroźek miał wielkie problemy w mniejszych formach. Takie były jego obyczaje. Dlaczego pozwolił sobie tym razem na dłuższy czas sceniczny? Czy chciał zawrzeć w trzech obszernych aktach „Tanga” sumę swojej filozofii? Nie wygląda na to, na próżno byśmy tropili tutaj propozycje autora. A jednak „Tango” jest pewnym podsumowaniem. Mroźek eksponuje w nim wymowne czynniki, które zapędziły starą inteligencję w ślepy zaułek. Sztuka Mroźka to requiem dla mieszczańsko-szlacheckiej inteligencji, jak swego czasu „Wielniowy sad” Czechowa. „Wujaszek Wania” i „Trzy siostry” były podzwonnym dla szlacheckiej inteligencji rosyjskiej (tylko że dzisiaj brzmiące żalobnych kompozycji bywa „elektroniczne”). Jednak „Tango” ma zarazem zasięg ogólnonarodowy — o tyle, o ile w Polsce mieszczańska inteligencja, ukształtowana na modłę inteligencji szla-

checkiej, wycisnęła takie, a nie inne piętno na narodowej kulturze, oddziałała w ten, a nie inny sposób na dzieje. I „Tango” ma nadto zasięg międzynarodowy — o tyle, o ile analityczne zjawiska występują na różnych szerokościach geograficznych.

Historioznawcze podzielenie do obecnej odmiany sceptycyzmu, do sceptycyzmu cynicznego, wymagało rozbudowanej retrospekcji. Trzeba przyznać, że nie ma tu pustych miejsc, owa „consecutio temporum”, po mroźkowsku logiczna i zjadliwa, jest aż gęsta od bystrzych spostrzeżeń z przeszłości i teraźniejszości... Ale cóż to? Znowu mamy wielkie w stosunkowo małym, bo sztuka wygląda z pozorów na kameralną, chodzi zaś w niej światło o całej kłótni, o scenie — rodzinie, a więc: młodzi — niby to 25-letni Artur i jego kuzynka 18-letnia Ala, ludzie w zaawansowanym średnim wieku — rodzice Artura Stomil i Eleonora, wreszcie zdecydowanie stare rodzeństwo — babcia Eugenia i dziadek Eugeniusz, powszechnie zwany wujciem. Nadto intryga Edek, bliżej nie określonej proveniencji, scharakteryzowany w mroźkowych didaskaliach jako „osobnik w najwyższym stopniu metny i podejrzany” (co dało assumpci pochopnym recenzentom do kwalifikowania go jako bandziora). Minimalnie nawet obcy się z dramaturgią Sławomira Mroźka, porwała zgadnąć, że ta niedobra kompania personifikuje grubo większą całość.

Jan Kott, we wspomnianym wyżej esej o paranteli Mroźka, kunsztownie wiąże syntetyczne (a, powtarzam, żywe teatralnie) postacie „Tanga” z historycznymi datami i imionami. Nie brak tutaj i lotnych traits pod adresem żyjących dzisiaj kolegów — pisarzy. Jednakże sprawa następstwa pokoleń, zamysłona przez Mroźka monumentalnie, nie jest w konkretnym pokazie dramatycznym całym przejrzyście. W gruncie rzeczy

(Dokończenie na str. 9)

# Uczony, pisarz, pedagog

**T**AK więc dzieło życia Profesora Feliksa Araszkiewicza zostało dopełnione i zamknięte. Czas, który będzie nas oddalał od daty Jego śmierci, unocznia nam coraz pełniej wartość wykonanej przez Niego pracy, a równocześnie będzie objawiał rzeczy w pozostawionym dorobku najtrwalsze, które czas skruszy nieprędko. Nikt w chwili obecnej nie jest uprawniony do wydawania jakichkolwiek wyroków, należy jednak dostrzec to, co już w chwili obecnej ma kształt utrwalaony.

Postawie i życie Profesora Araszkiewicza określiły dwa wielkie nazwiska: Żeromskiego i Prusa. Poza ich wpływem ich się znosiły, wykluczały. Dlaczego tak było, znajdujemy odpowiedź we fragmencie wspomnień *Pod znakiem „Szyfrowanych prac”* i „Wiernych rzeki”, drukowanych przez Profesora na tych łamach przed paru laty. To zresztą oczywiste: autor ich zdawał maturę w 1913 r., u progu wydarzeń, które doprowadziły do wymarzonego odrodzenia Polski. To pokolenie żyło w oczekiwaniu na spełnienie cudu, tak, cudu, tyle że zapracowanego i przygotowanego w szeroko zakrojonych działaniach konspiracyjnych. Rewolucja 1905 r., strajki szkolne, to były wydarzenia, które pobudzały aktywność, wyzwalały nie tylko umiejętność cierpienia, ale i pragnienie zwycięstwa. „Synami Żeromskiego” nazwał w tych wspomnieniach autor swoich rówieśników. W równej mierze odnosi się do określenia i do Niego. Dlatego omijał rządowe szkoły zaborcze, szedł do polskich, które wprawdzie nie dawały nadziei na zrobienie kariery, ale umożliwiały pracę dla polskości.

Po maturze — Kraków. Dla mieszkanka Kongresówki Galię wydała się ziemia wolności i swobód. Wykłady Ignacego Chrzanowskiego, którego uczniem był wówczas Profesor Araszkiewicz, stały się ważnym przeżyciem i doświadczeniem. Potem znów trzeba się było udać w inne strony: Tbilisi, Moskwa, przeżycie wybuchu Rewolucji Październikowej. Wreszcie nastąpił powrót do wyzwolonej Polski, ale to nie był powrót Cezarego Baryki.

W tym mniej więcej czasie w zainteresowaniach Profesora zaczyna pojawiać się Prus. Działyły tu inspiracje Ignacego Chrzanowskiego, pod którego kierunkiem powstawała praca doktorska Profesora, wydana w 1925 r. z przedmową J. Krzyżanowskiego pt. *Najogólniejsze ideały życiowe*. Praca ta otwiera drogę, którą szedł Profesor do ostatnich swoich dni. Jest coś głębokiego w fakcie, że piękne i mądre przemówienie, wygłoszone przez Profesora Araszkiewicza na odsłonięciu pomnika Bolesława Prusa w Nałęczowie, ukazało się w druku z datą późniejszą od śmierci Profesora. Było ostatnim niemal Jego słowem. Prus wszedł więc na dobre w zakres zainteresowań Profesora. Świadczyły o tym coraz to nowe publikacje materialowe i interpretacyjne, ogłaszane w „Ruchu Literackim”, „Pamiętniku Literackim”, „Pionie” i „Ziemi Lubelskiej”. Z r. 1926 pochodził głośny artykuł „Faraon” w *Świecie Jupitery*, w którym autor uzasadnia filmowość powieści Prusa, a w ślad za tym wysuwa sugestię jej sfilmowania. Czynione wielokrotnie zabiegi nie dają jednak wyników. Myśl ta stała się ciałem dopiero niedawno. Profesor niezależnie od zastrzeżeń wobec filmu, którym dal

wyraz w artykule opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym”, przeżywał ten film jako sukces osobisty. Cieszył się, że wywoła on nową falę przychylności czytelniczej dla dzieła Prusa i to nie tylko w naszym kraju.

## TADEUSZ KLAK

Przed wojną prace, stanowiące owoc badań nad Prusem, zawarły *Refleksje literackie* (Lublin 1934). Okres powojenny przynosi nasilenie zainteresowań twórczością autora „Płocówki”, co wiąże się z rozpoczętą pracą pedagogiczną na polonistycznym KUL po uzyskaniu habilitacji. W 1948 r. wychodzi najważniejsza praca Profesora: *Bolesław Prus. Filozofia — Kultura — Zagadnienia społeczne*, która stanowiła wynik dociekań nad myślową zawartością dzieła Prusa. W badaniach nad tym pisarzem jest to rzecz trwała, nie do ominięcia i w przyszłości. Wątek prusowski znajduje kontynuację w *Dzieliach i twórcach* (Warszawa 1957), gdzie przedrukowany został znany szkic *Nałęczów Prusa i Żeromskiego*. Tytuł podkreśla, że nie było żadnego rozstrzygnięcia o twórczości autora „Przedwiośnia”, choć pozostał on na drugim planie. Poświęcił mu Profesor kilka prac, eksponując szczególnie mało wówczas znane epizody związane z pobytem Żeromskiego w Nałęczowie i działalnością Towarzystwa „Światło”. Wkrótce po ukazaniu się „Dzienników” Żeromskiego poddał je gruntownej analizie, określając je odkrywczo formułą, że stanowią one powieść, której bohaterem jest sam Żeromski. Była to jedna z pierwszych ocen, wymierzająca temu dziełu pełną sprawiedliwość.

Szkic *Nałęczów Prusa i Żeromskiego* zawierał też jedną bardzo ważną i płodną propozycję: powołania w Nałęczowie Muzeum Bolesława Prusa. Myśl ta długo dojrzewała, ale przecież stała się faktem. Jego staraniem i opiece naukowej zawiązać należy powstanie ośrodka wiedzy o Prusie i miejsca, gdzie gromadzi się i udostępnia wszystko, co tego pisarza dotyczy. Od czasu powstania Muzeum, a szczególnie w tych miesiącach (a było ich każdego roku trzy), kiedy Profesor przebywał w Nałęczowie, darzył je nie tylko sentymentem, ale wskazówkami, radami i zachętami. Chciał je widzieć nie tylko jako placówkę użyteczną dla turystów i miłośników Prusa, ale jako instytut prusowski, przyszły warsztat badań naukowych nad pisarzem.

W tej inicjatywie zawiera się całość sylwetki Profesora Feliksa Araszkiewicza, w której zespalają się zainteresowania naukowe i pisarskie z powołaniem pedagoga i urodzonego działacza. Nie miejsce tutaj na pełne przedstawienie aktywności Jego w tych dziedzinach. Interesował się także literaturą współczesną, czemu dawał wyraz szkice o E. Szemburg-Zarembinie, J. Kaden-Bandrowskim czy F. Arnsztajnowej. Uczestniczył w poczynaniach miejscowego środowiska literackiego, redagując przy dzienniku „Ziemia Lubelska” dodatek literacki. Przez swą działalność staje się jednym z współtwórców lubelskiego regionalizmu. Patronem był tu Łopaciński, któremu Profesor poświęcił osobną książkę, a inspiracje pochodziły od regionalistycznych idei Żeromskiego.

Trzeba zaznaczyć, że pojmowanie regionalizmu przez Profesora było bardzo szerokie i nowoczesne, zawierało prócz programu kulturalnego także gospodarcze podnoszenie regionu. Toteż Profesor Araszkiewicz obecny był we wszystkich lubelskich poczynaniach kulturalnych.

Był wiceprezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, piastował stanowisko prezesa Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej, który stanowił doskonały przykład koordynacji zamierzeń i ścisłej współpracy różnych organizacji i instytucji społeczno-kulturalnych. W latach 1928—1929 redagował „Region Lubelski”, po wojnie zaś stał na czele komitetu przygotowującego wydawnictwo na 50-lecie Biblioteki im. H. Łopacińskiego. Pod jego redakcją wyszła także książka poświęcona pamięci Juliusza Kleimera.

Zapewne pojawiają się prace, które dadzą pełny obraz wysiłku naukowego Profesora, ukążą Jego zasługi dla nauki, a zwłaszcza wielki wkład w kulturę Lubelszczyzny. Wspomnienia powinny utrwalić niezapomnianą postać Profesora którego szczupła, ale zwracająca uwagę sylwetka była tak charakterystyczna dla Lublina. Z miastem tym złączył większą część swego życia i całą swoją pracę. To Jego zaangażowanie w sprawy dziejące się wokół jednemu Mu ludzi, budziło głęboki szacunek. W odczycie o ideowych podstawach wyboru zawodu mówił do uczniów: „Brzozowski nauczył mnie rozumieć, że to, co się dzieje, dzieje się za moją wiedzą, za moją taką czy inną aprobatą, zależy od tego, czy ja tego chcę, czy nie chcę (...) za wszystko ponosimy odpowiedzialność”.

Tej odpowiedzialności uczył się Profesor jeszcze w czasach młodości, w pracy w organizacjach niepodległościowych, znajdował ją u bohaterów Żeromskiego. Poczucie odpowiedzialności pielęgnował też u swoich uczniów, cenili je u innych ludzi. Był lubiany za życzliwość, jaką okazywał innym, ale nie było w tym nic z pobłażania, raczej przyjacielską pomoc. Miał wysoki autorytet i powagę, ale i wielkie poczucie humoru, które objawiało się nie tylko w bezpośrednim obcowaniu z ludźmi, lecz przenosiło się do sal wykładowych i seminaryjnych. Jego powiedzenia czy żarty obiegaly całą polonistyczną społeczność. Pogodny uśmiech i optymizm należały do tych cech Profesora, które udzielały się Jego otoczeniu. Do końca pozostał Profesor nauczycielem i wychowawcą. Przekazywał nie tylko swoją wiedzę, ale przekazywał swoje zamiłowanie do prac badawczych o charakterze regionalnym, stworzył w tym celu specjalne seminarium regionalistyczne, dzięki któremu odsłonięto wiele nie znanych kart przeszłości kulturalnej Lubelszczyzny.

W bardzo interesujących *Rozważaniach o etyce pisarskiej* napisał Profesor takie słowa: „Koroną działalności twórczej pisarza jest jego zasługa wobec człowieka, wobec świata, który ukochał, zasługa czynna całego życia — ze wszystkimi wlotami i upadkami — powstająca w nieustannym narastaniu wartości cennych społecznie i wyrażanych pięknem dzieł stwarzanych”. Słowa te określają też zasługi Profesora: uczonego, pisarza, pedagoga i działacza kultury.

O tych zasługach będą mówić zostawione dzieła. W naszych sercach pozostanie pamięć o najlepszym człowieku.



Otwarcie Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie. Na zdjęciu: prof. Feliks Araszkiewicz i Zuzanna Sienkiewiczowa.

# W pełni sił twórczych...

K. A. JAWORSKI

**M**OJE pierwsze zetknięcie się z Prof. Feliksem Araszkiewiczem wiąże się z początkami mej pracy nauczycielskiej, kiedy to wraz z innymi polonistami byłem obecny na Jego pokazowej lekcji języka polskiego w jednym z gimnazjów lubelskich. Nie pamiętam już, co było jej tematem, pozostało tylko ogólne wrażenie, lekcja była żywa, ciekawa, prowadzona z temperamentem i wciągała uczniów do zabierania głosu. Nie wiedziałem wtedy, że ze starszym ode mnie i bardziej doświadczonym kolegą będę miał później sposobność spotykać się często w różnych okolicznościach życia i na różnym gruncie: szkolnym, kulturalnym, literackim, organizacyjnym i towarzyskim.

To On, pełniając funkcję wizytatora i naczelnika wydziału szkół średnich w Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, niejako „pasował” mnie na nauczyciela, przyjmując ode mnie przysięgę; On, wyciągając szkołę, oceniał moje zdolności pedagogiczne; On przewodniczył nieraz na egzaminach maturalnych; On interesował się chemią „podchorążówka poetycka” i rozwojem „Kamenu”. Jako prezes Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej, wiążącego wszystkie organizacje kulturalne regionu, parokrotnie przychylił się do przyznania mi subwencji, która choć niewielka, stanowiła jednak znaczącą pomoc dla horakającego się z trudnościami finansowymi miesięcznika.

Po wojnie spotykaliśmy się często w Związku Literatów, na zebraniach sekcji twórczych, a w pewnych latach wchodziliśmy jednocześnie do zarządu. Profesor przeszedł wtedy do szkolnictwa wyższego i tytuł profesora przestał już dla Niego być tylko formą grzecznościową, ja zaś po paru latach rozstałem się z pracą nauczycielską. Teraz łączyla nas już tylko literatura. Powaga, bezkompromisowość, solidność w wykonywaniu podjętych obowiązków i młodzieńcza żarliwość — oto cechy, które mnie uderzały w Jego pracy organizacyjnej i w stosunkach koleżeńskich.

Ostatnio spotykaliśmy się nieraz w Nałęczowie, gdzie obaj z podobnych względów spędzaliśmy letnie miesiące. I w tym roku Profesor zamierzał przyjechać na odpoczynek do tego uzdrowiska.

I właśnie tutaj widziałem Go po raz ostatni. Przybył na uroczystość odsłonięcia pomnika tego pisarza, któremu poświęcił najwięcej uwagi i dużą część swych prac naukowoliterackich. On to przecież był inicjatorem i gorącym oredownikiem powstania w Nałęczowie muzeum Prusa. On jeszcze w roku 1926 rzucił myśl sfilmowania „Faraona” i po czterdziestu latach doczekał realizacji tego pomysłu.

Po odsłonięciu pomnika Profesor wygłosił, jak zawsze piękna polszczyzną, niedługą prelekcję o umiłowanym autorze. Z humorem zapowiedział na wstępie zebranemu w sali pałacu Malachowskich audytorium „przyjemną wiadomość”, że przemówienie będzie krótkie. W trakcie jego wygłaszania do sali niespodziewanie wtargnęły dziwięki orkiestry w parku. Była to niedziela „nałęczowska”, przed kwadransiem obok pomnika przesuwał się barwny korowód „przebiegających” w kostiumach historycznych. Widziałem ukrywane zdenerwowanie Profesora, który przemawiał niezbyt głośno i któremu ta muzyka przeszkadzała; lekka melodia odbijała od poważnej treści słów Prelegenta, toteż rozumiłem Jego niezadowolony. Wnet jednak ktoś się domyślił zamknięcia okna, a za chwilę i umilkła orkiestra. Po tym przelotnym dysonansie nie już nie przeszkadzało przemówieniu, którego wszyscy słuchali z zainteresowaniem. Profesor sprawiał wrażenie, że jest w dobrej formie fizycznej — ktoś by wtedy przypuszczał, że w tym samym miesiącu, w trzy tygodnie potem, zachoruje śmiertelnie i tak szybko odejdzie...

Zabrakło nagle człowieka, który był w pełni sił twórczych (ostatnie majowe artykuły w „Kierunkach”, „Tygodniku Powszechnym” i w „Za i przeciw”) i mógł niejedną jeszcze rzecz napisać, a szczeremu środowisku literackiemu w Lublinie ubył Kolega, do którego odnosił się z wielką sympatią, któregośmy cenili i szanowali.

# LITERACKIM DYSZLEM

(Dokończenie ze str. 1)

kie, rozpoczynające świątowanie swoich „Dni”, a zalewane strugami zimnego deszczu, pokazał nam — z okien autokaru po części — kierownik wydziału kultury. Kiedy teraz wspomnę, że mieliśmy także interesujące spotkanie z aktywnym kulturalnym Rzeszowa, w czym uczestniczyli młodzi miejscowi literaci, że przewodniczący Prez. WRN, a także kierownicy wydziałów, nawiedzieli wiele ważnych spraw, to jasne się stanie, że region ten poznaliśmy dość dobrze.

W Krakowskim spędziliśmy trzy doby. Po drodze do wawelskiego grodu — Dębica i zakłady przemysłu gumowego. Była niedziela, psia pogoda, fabryka unieruchomiona, mimo to nikogo z kierownictwa nie zabrakło; oprowadzono grupy po olbrzymich halach, opowiedziano o procesach produkcji, goszczono nas w zakładowym domu kultury. Życzliwość, bezpośredniość, swobodne rozmowy, cudowny na-

strój. Słyszałam, że było tu równie przyjemne spotkanie jak w Zamieniu. Potem nie darował nam Tarnów: zabytkowy, tętniący życiem, świetnie wyposażony dom kultury, bogate i cenne zbiory muzealne, ciekawo ludzie. Następny dzień — cały dla Nowej Huty. Wielkie przeżycie — kombinat. Ponadto wiele dodatków: spotkanie przy kawie w dworcu Matejki w Krzeszowicach, gdzie gospodarzami byli Stefan Otwinowski i Jerzy Broszkiewicz, dwa wieczory autorskie, jeden podobno szczególnie udany. Wypadł mi ten dzień z rachunku, zwyciężyły mnie żąb i deszcz, jednakże nie poskapiono mi relacji. Cały dzień zajął nam także Oświęcim, bo nie można go nie znać. Do południa wielka chemia, buchająca ogniem z pieców, zdumiewająca labiryntem potężnych urządzeń. Po południu... Auschwitz-Birkenau, ten skamieniały, martwy, przerażający krzyk, którego ludzkość nigdy nie stłumi ani nie uciszy. Nasz przewodnik, Karol Redekci, przeszedł piękło: powiedział nam na odjeździe-

nym: „Obozem nie można żyć co do dzieła, ale nie wolno o nim zapominać”. Nie wolno przede wszystkim artystyce. Ostatni akord był królewski, bo i pogoda sprawiła się lepiej; galeria rzeźby w plenerze (Bronisław Chromy przed gmachem krakowskiej WSR), Ojciec i Jego niepowtarzalna uroda, Pieskowa Skala, i skarby sztuki...

Telegraficzny skrót jest tylko tym, czym jest — sygnałem wywoławczym. Za słowem „siarka” niki nie zobaczy zagęszczenia przemysłowych obiektów, kilometrów taśmociągów i transporterów, żółtego złota minerału, zielonkawej rudy, hałd, odkrywk, nowoczesnych osiedli, dobrego standardu lokali gastronomicznych i sklepów, a nawet pomnika Bartosza Głowackiego, jeśli w Tarnobrzegu nie był. Podobnie w innych wypadkach. Wymieniając nazwy miejscowości, mam w oczach pyszną architekturę, madonny rzeźbione w drzewie, stylowe wnętrza, bezcenne tkaniny, przedmioty zbytku, pamiętki przeszłości, a i to wszystko, co jest dorobkiem Polski Ludowej, a także zieloną przestrzeń pól, z których także przecież można wiele odczytać. Zgodziliśmy się: tego nie

zastąpi książka, prasa, kawiarniany stolik.

Nie wszyscy dotrwali do końca, ale prawdziwe pożegnania zaczęły się dopiero na Złotej Górze w Ojowicie: odjeżdżał krakowianin. I wtedy okazało się, że jest margines tego rekonesansu wcale istotny: trudno się było rozstać. Autokar nie jest pomieszczeniem najbardziej akustycznym i do wielkich słów czy gorących polemik. Przecież było gwarno, chociaż na skutek trudów podróży rzwały się warki. Na porządku dziennym były rzeczy wzruszające, ale było także sporo przykrych, niepokojących, według mnie — choć być szersza — po prostu groźnych, nasuwających zasadnicze pytania. Wzruszające jest, że ci młodzi swoją twórczość, pracę nad nią, literacką przyszłość traktują żarliwie. Czytało się tomiki podczas jazdy i nocą, wymieniali się je, kupowali po drodze w księgarniach, poszły w ruch maszynopisy, odbywały się wieczory autorskie w hotelach, dyskutowano przy posiłkach. Ktoś powiedział: „Korzyścią jest dla mnie, że poznałem szereg osób, może nie na wielką przyjaźń, ale na dobrą znajomość, którą będę sobie cenil, których dorobek be-

dzie mnie obchodził”. Niewątpliwie należą do nich: Barbara Czajczyńska, Krystyna Szlaga, Ewa Lipka, Leszek Płazewski, Jarosław Markiewicz, Michał Wyszomirski, Andrzej Kozłowski, Ryszard Kozłowski, Roch Sęczawa, Andrzej Smidt, Wojciech Suwillo, Kazimierz Stopa, Szkoła, że nie wszystkie ośrodki były reprezentowane, że nie wszyscy, którzy mieli ochotę i nawet się zgłosili, wzięli w wycieczce udział.

W Lublinie zaproponowaliśmy gościom (inicjatorem jest Zbigniew Jakubiak) zwołanie sejmiku młodych jesienią, a kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN, Zbigniew Frąc, jest naszym sojusznikiem. Ponowiliśmy propozycję na Pieskowej Skale, w czasie tak zwanych podsumowań. Nie padły zobowiązania, bo nie mogły. Lecz zarówno Adam Włodek jak i Henryk Gaworski (całkowicie komisją młodzieżową przy ZG ZLP; Henryk Gaworski był kierownikiem wycieczki i w dużej mierze dzięki Jego energii plan jej został wykonany) odnieśli się do sprawy przychylnie.

Matylda Welna

# "ŚMIAŁY" na drugiej półkuli

STEFAN ZIEMNICKI

Buenos Aires (bez daty)

**K**OCHANI! Stoimy na lądzie, wyciągnięci z wody przez sprawnych i wesółych Argentyńczyków. Skrobimy, skrobimy, skrobimy. Od świtu do nocy. A w niedzielę miałem wolny dzień. Wszyscy pojechali do La Plata, a ja zostałem. Wietrzyłem i trzepałem swoje lachy, pisałem sprawozdanie do PIG (Państwowego Instytutu Geograficznego — przyp. red.) i przyjmowałem gości. Bo stoimy już nie w porcie B. Aires, ale w Yacht Clubie Argentino.

W Buenos Aires trwa od dwóch tygodni strajk śmieciarzy. Wyobraźcie sobie zapachy w mieście? Zresztą grabarze strajkują też. Był to w mieście Cordoba strajk policjantów. Na początek zwolali więc i odczytali proklamację więźniów natowlujących kompanów, pozostających na wolności, aby na czas strajku nie działali w Cordobie. Usłuchali. Bardzo ucierpieli sąsiednie miejscowości.

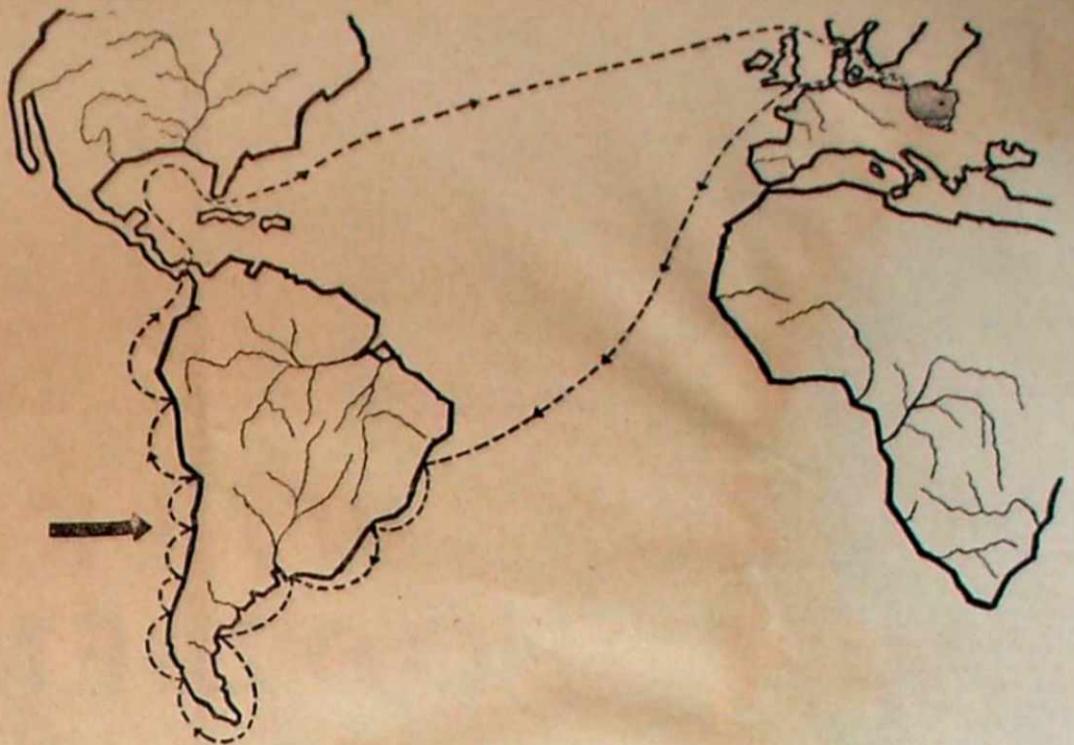
Revolucja. Dużo ich — duża za-

A na sympatycznej stoczni jachtowej jest bardzo fajnie. Robotnicy przychodzą, zagadują i częstują. Jeden metys paragwajski bardzo się do mnie przywiązał. Twierdzi, że pojedzie do Polski jak tylko wygra na loterii (bardzo poważnie). Specjalną sympatię żywi, bo dowiedział się, że ja też nie ze stolicy. Przed kilku godzinami złożyliśmy wizytę prezydentowi Argentyny. Jutro będę miał zdjęcie z nim... Wszystko w porządku, czuję się dobrze, robota na łódce szybko idzie. Całuję

Krzyśtek"

Oto wyjątek z listu, przesłanego niedawno do rodziny w Lublinie przez dr Krzysztofa Wojciechowskiego, jednego z członków załogi „Śmiałego”. Dodajmy, że to nie łódka, ale piękny jacht, chociaż w porównaniu z beżmiarem wód Atlantyku czy Pacyfiku to rzeczywiście mikroskopijna łupinka.

Oczywiście celem tej głośnej w świecie wyprawy nie jest szukanie ciekawostek pałacowych rewolucji, ale przeprowadzanie badań z zakresu oceanografii, klimatologii, geomorfologii, hydrografii i morfologii



Trasa jachtu. Strzałka z lewej strony pokazuje miejsce, w którym znajdował się „Smialy” w chwili pisania tego artykułu.

Chile, 19.V.1966.

„Niech mi Pan wierzy, że z czasem jest bardzo ciężko. Dziś mam przymusowe święto (częściowo), więc zabrałem się do korespondencji. Bilans, który zrobiłem wykazał, że nie napisałem jeszcze ani razu do 21 osób, do których powinienem napisać...”

Przebywamy w górach i wreszcie prowadzimy badania. Piszę „wreszcie”, bo okres przygotowań trwał długo. Siedzieliśmy w Santiago, zbieraliśmy materiały w różnych instytucjach i odbywaliśmy oficjalne wizyty. Bardzo ścisły kontakt nawiązaliśmy z Instytutem Geograficznym Uniwersytetu. Jego dyrektor młody dr R. Santana okazał się wielkim zwolennikiem współpracy i dużo pomógł w nawiązaniu potrzebnych kontaktów. Do najcenniejszych należał kontakt z Wojskowym Instytutem Geograficznym. Dyrektor płk T. Opazo dał nam (to znaczy mnie i Wojciechowskiemu) karty stałego wstępu do Instytutu i wszystkie mapy, jakie potrzebujemy do badań.

Z instytucji ENDESA, zajmującej się elektryfikacją kraju, oraz z Działu Nawadniania w Ministerstwie Robót Publicznych dostaliśmy materiały hydrometryczne. W Instytucie Geologicznym wykryliśmy niepublikowane materiały. Podobnie w Urzędzie Meteorologicznym. Cenną pomoc znaleźliśmy też w UNESCO.

Pod koniec naszej bytności w Santiago ambasador Polski wydał cocktail, na którym byli przedstawiciele tych instytucji, które nam pomogły. Była też prasa. Rezultatem tej bytności były artykuły w „El Mercurio”, najstarszym dzienniku chilijskim, oraz w „El Siglo” — dzienniku komunistycznym. Rządowy dziennik „La Ntaion” zamieścił

wywiad ze mną i ozdobił go moją fotografią.

Na cocktailu był też p. Juan Domeyko, pracownik MSZ. W dwa dni później wydał on u siebie w domu cocktail dla nas. Mogliśmy tam poznać wiele osób z licnej rodziny Domeyków. Między innymi panią Anitę, która niedawno była w Polsce i jest nią oczarowana. Nikt z Domeyków nie mówi po polsku, ale do Polski i Polaków czują wielką sympatię. P. Anita chce również nas zaprosić, gdy po skończeniu prac będziemy znów w Santiago.

Oto wyjątek z ostatniego listu doc. dr Tadeusza Wilgata, kierownika Katedry Hydrografii UMCS, a zarazem kierownika naukowego i jednego z inicjatorów głośnej już w świecie wyprawy polskiego jachtu „Smialy”.

Formalnie zaczęło się 29 lipca ub. roku, gdy jacht wypłynął z portu szczyńskiego w 15-miesięczną podróż przez dwa oceany i kilkanaście mórz. Przepłynął on łącznie ok. 20 tys. mil morskich — w tej chwili 13 tysięcy mil to już przeszłość.

— Wiatrów w żagle!

— Stopę wody pod kilem!

Takimi okrzykami żegnano żeglarzy w Szczecinie. A życzenia były bardzo potrzebne. Bo chociaż siedmiosobowa załoga składa się z wytrawnych żeglarzy — większość posiada stopnie kapitana jachtingu — to przecież małe jacht ruszał w drogę, na której i potężnym parowcem przydarzały się niezmierne ciężkie chwile. „Smialy”, zbudowany według projektu polskich specjalistów, ma zaledwie 18 m długości, a szerokość w części środkowej nie przekracza 4 m. Z trzech masztów najwyższy ma 20 m, powierzchnia żagli wynosi ok. 150 m kw. Zanurzenie w wodzie 270 cm, więc z ową „stopą pod kilem” woda musi mieć zawsze co najmniej 3 m głębokości.

W środkowej części jachtu mieści się mikroskopijna kajuta kapitana. Jest ona w dodatku obudowana półkami, wypełnionymi książkami, atlasami i mapami nawigacyjnymi. W środku lilipeł stół i kanapka o przemysłowej konstrukcji, która po zmianie położenia zamienia się na miejsce do spania. W kajucie załogi koje wiszą w trzech poziomach. Messa ma z trzech stron ławeczkę i mały stół o rozkładanych blatach. Do posilku z „czwartej strony” dosłownie wkręca się w podłogę 2 lub 3 krzeselka, aby wszyscy mogli usiąść.

Załogę jachtu stanowi 7 osób. Kierownikiem wyprawy i kapitanem jest mgr Bolesław Kowalski, rodowity lublinianin, były kapitan jachtu „Dar Opola” w czasie jego wyprawy na Morze Czerwone, autor poczytnej książki „Wyprawa Koral”, której jednak w Lublinie kupić nie można. Kierownikiem naukowym jest doc. dr Tadeusz Wilgat, który dołączył do wyprawy w kwietniu br. Dalej dr Krzysztof Wojciechowski, asystent Katedry Hydrografii UMCS, geograf mgr Bronisław Śladek — redaktor popularnego magazynu „Poznaj Świat”, geolog dr Ludomir Mączka. Poza pracownikami naukowymi płyną: dziennikarz „Trybuny Ludu” mgr Krzysztof Baranowski, kronikarz wy-

prawy i mimo stopnia kapitańskiego — pełniący obowiązki kucharza oraz mechanik i radiooperator inż. Jerzy Knabe. Jak ciężkie są warunki rejsu niech świadczy fakt, że w wyniku chorób musieli wrócić z trasy klimatolog dr Mieczysław Kluge (dopłynął do Anglii) oraz dr medycyny Tomasz Romer, wnuk słynnego kartografa i autora wielu atlasów (z Rio de Janeiro).

Niezwykłym w skali światowej wyczynem sportowym było przepłynięcie wiecznie burzliwej i najczoniej różnymi niebezpieczeństwami cieśniny Magellana. Wyczyn ten daje załozce prawo wstąpienia do słynnego w świecie klubu najdważniejszych żeglarzy, którego członkiem jest m. in. Tor Hayerdal, znany z wyprawy żeglarskiej na tratwie Kon-Tiki.

W Puerto Eden, jednym z portów cieśniny, natychmiast po wyjściu na ląd trzeba było rozegrać mecz pingpongowy z personelem miejscowej stacji meteorologicznej. Potem załoga była podejmowana bardzo gościnnie. Najpierw podano zupę z małą, na drugie danie małże faszerowane. Dla miejscowych był to wspaniały przysmak. Jak smakowało naszym — lepiej zamilczeć.

Atlantyk, 21.09.66.

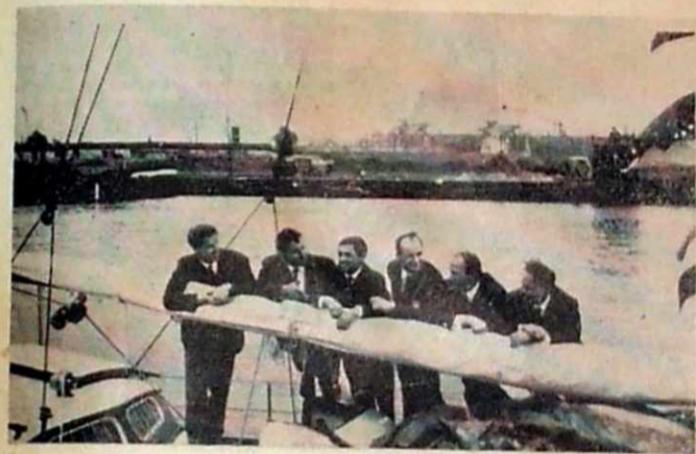
Nareszcie chwilka wolna na wystukanie paru słów nieoficjalnych. Dotychczas albo praca, albo obowiązki dziennikarskie, albo zwiedzanie. Tego pierwszego najwięcej. Nie możemy się pomieścić w 24 godzinach. To, co otrzymaliśmy od Lubelszczyzny, stanowi olbrzymi wkład w wyprawę. Zajadamy truskawki z Zagłoby, szparagi z Radzyna (pomylka, też z Zagłoby — przyp. red.), słodycze z „Solidarności”, popijamy milejowskim winem i bardzo sobie chwalimy nasze zapasy.

Znajdujemy się pomiędzy Wyspami Kanaryjskimi i Wyspami Zielonego Przylądka w drodze do Brazylii. Dotychczasowe postoje były przede wszystkim przeznaczone na naprawienie usterek technicznych, ale i bardzo atrakcyjne. Dawna wysepka piratów na Bałtyku Christiansoe, Portsmouth — miejsce dokowania okrętu Nelsona, Southampton — skąd wyruszyli pielgrzymi na „Mayflower”, Terytya — „Ogrody Hesperyd” i szczyt legendarnej Atlantydny...

Tomek Romer rzadko każe język pokazywać, Jurek Knabe chadza po pokładzie ze śrubokrętem i oliwką, a Broniek Śladek marzy o Andach i ukradkiem czuści raki. Ja walczę z kambuzem i nabieram doświadczenia ile pieprzu dodawać, żeby nie było za dużo. Serdeczne pozdrowienia od całej załogi (7 podpisów)

Po powrocie dr Romera do kraju nikt już nie każe „pokazywać języka”. Załoga bowiem pozostała bez lekarza. Starania kapitana o następcę, jak dotychczas, nie odniosły skutku. Po prostu zabrakło dewiz na taki wydatek. Trochę to szkujące. Zwłaszcza w zestawieniu z wyjazdami zagranicznymi ekip sportowych, którym towarzyszą lekarze, masażyści, trenerzy, działacze, kierownicy...

A może naukową wyprawę „Smiałego” przemianować na wyprawę sportową?



W porcie szczecińskim na chwilę przed rozpoczęciem rejsu — kolejno od lewej: red. Krzysztof Baranowski — kok i kronikarz wyprawy, dr Krzysztof Wojciechowski, mgr Bolesław Kowalski — kapitan jachtu, dr Tomasz Romer — lekarz wyprawy, mgr Bronisław Śladek, dr Mieczysław Kluge — klimatolog.

bawa dla publiczności. Barykada (ta dawna). Do strzelających zgłasza się były żandarm c.k.: — ja też chcę per Libertad! Dają mu karabin. Strzela raz — tam ktoś pada, drugi raz — też. Odbierają mu broń — wariacie, jak strzelasz, tam są ludzie!!!

W budynku radiostacji bronią się lotnicy. Obiegają naturalnie marynarze. W pewnym momencie z drzwi wysuwa się dowódca lotników: campaneros — krzyczy — u nas telefon zepsuty, mogą skoczyć do baru naprzeciwko zadzwonić? — Si — odkrzykują marynarze. Bieganie, dzwoni, gada długo, wraca. Obłędnie trwa nadal.

człowieka oraz zaprezentowanie możliwości polskiego żeglarstwa sportowego. Wyprawę finansują Polska Akademia Nauk, Polskie Towarzystwo Geograficzne oraz magazyn „Poznaj Świat”. Większość załogi stanowią rodowici lublinianie albo ludzie, związani studiami lub pracą naukową z UMCS. Z tego też powodu przewodniczący Prezydium WRN w Lublinie, mgr Paweł Dąbek, przyznał wyprawie specjalną dotację w wysokości 100 tys. zł, a liczne przedsiębiorstwa dostarczyły dużych zapasów żywności, prosząc w zamian o obserwację, jak zachowują się polskie konserwy pod równikiem.



„Smialy” na Rio de Janeiro.

**D**ELEGATURA Rządu RP na Kraj uważała Lublin za środowisko szczególnie trudne dla konspiracji ze względu na „duże nasilenie agentami gestapo” jak i wielką ciasnotę mieszkaniową (po kilka rodzin w jednym mieszkaniu). Trudno odmówić słuszności tej charakterystyce. Kontrwywiad AK co pewien czas sporządzał listy osób, rozpoznanych lub podejrzanych o współpracę z gestapo. AK wydzieliła nawet specjalną grupę, obserwującą osoby, odwiedzające gmach gestapo lub spotykające się z gestapowcami. Utworzono ją z b. sportowców WKS Unia — R. Wnuka, Z. Paproty, Siarkowskiego i in. Dowodził nią K. Swiderski z 8 p. p. leg. ps. Szczerbaty. Grupy AK i innych organizacji raz po raz przeprowadzały likwidację agentów. Niejednokrotnie gestapo dokonywało prowokacji, np. przez rozprowadzanie fikcyjnej prasy podziemnej. Wg danych wywiadowczych w listopadzie 1943 r. mieszkało w Lublinie ok. 10 tysięcy Niemców, a szpitale niemieckie mogły pomieścić 14 tysięcy rannych.

Policeja niemiecka, gestapo, SS i inne formacje przeprowadzały częste rewizje na ulicach, otaczały podejrzane dzielnice, stałe patrolowały miasto. To zmuszało do zastrzeżonej konspiracji i czujności. Dlatego nie wszystkie organizacje lokalizowały w Lublinie swoje wojewódzkie sztaby dowodzenia, a nawet nie organizowały garnizonów miejskich. Mimo to życie konspiracyjne rozwijało się bujnie.

Jedną z pierwszych organizacji była Komenda Obrońców Polski, której komendantem głównym był Bolesław Studziński (ps. Bogdan Nitecki), który sieć krajową KOP zaczął montować właśnie w Lublinie. W mieszkaniu Wersockich przy ul. Bychawskiej 48 wydawał na powielacz (na cały kraj) odezwy, ulotki, rozkazy oraz pismo „Polska żyje”. Pierwszym komendantem okręgu był Wincenty Stanisławski (Jan Dutkiewicz) ps. „Polikowski”, a obwodu Lublin-miasto Jerzy Bytryś ps. Morski. Komendę tworzyli: Korona, Marian i Tadeusz Barszczewscy, Leon Gromada, Feliks Gwóźdź i Roman Jaroński.

Miasto podzielono na rejon organizacyjny: Stare Miasto, Dziesiąta, Kośminek, Wieniawa, Śródmieście, Lubartowska, kolejowy, pocztowy i specjalne. Całe miasto pokryto punktami kontaktowymi, m. in. w mieszkaniu Chrostowskich przy ul. Pochyłej 5 m. 20, w piekarni przy ul. Bychawskiej 48 i w warsztacie naprawy rowerów Skibińskiego pod nr 90, w zakładzie kamieniarskim przy ul. Lipowej, u inż. Dutkiewicza przy ul. Zamojskiej 12, w mieszkaniu Saganów przy ul. Stowackiego 23, w sklepie warzywnym przy pl. Św. Ducha. Na przełomie lat 1940—41 gestapo zadało tej organizacji straszliwe ciosy. Aresztowano kilkaset osób — część rozstrzelano, część wysłano do obozów koncentracyjnych, wszystkich torturowano. Wśród ofiar znaleźli się czołowi działacze — „Polikowski”, Chrostowscy, Wersocy, Jerzy Wawrzyszak ps. Jur, Wł. Janicki, Gabriel Kowalski, Janusz Springer, Jerzy Bytryś, Feliks Kromer. Gestapo przeprowadziło nawet ekshumację zwłok zmarłego wcześniej komendanta Studzińskiego. Członkowie KOP rozproszyli się, a następnie wstąpili do innych organizacji konspiracyjnych. Członkiem KOP zawiązywaliśmy organizację przechowania obrazów Jana Matejki, m. in. „Grunwald”.

KOP skupił wielu patriotów — nauczyciela fizyki Michała Chrostowskiego ps. Błysk, jego żonę Apolinie ps. Pola i córkę Grażynę (obie rozstrzelane w kwietniu 1942 r.), Wincentego Stanisławskiego, Józefa Wersocka ps. Ziuta, Antoniego Chmielnickiego, Tadeusza Kasprzaka, Stanisława Komela, Borysa Ogrodnika ps. Haliż, Ignacego Mizkowskiego ps. Miecznik, Pończek ps. Lelewek, Tadeusza Oszasta ps. Trójka, inż. Józefa Sikwerczyńskiego, Józefa Jakimińskiego, dr. Eysmanta i innych.

Niemal jednocześnie z KOP zaczęła działać w mieście organizacja Służba Zwycięstwu Polski, która powstała we wrześniu 1939 r. w Warszawie. Pionierami w Lublinie byli m. in. pracownicy sądu Stefan Lelek-Sowa (rozstrzelany na Rurach wraz z córką Grażyną), b. działacz „Siewu” Stefan Sikorski, Robert Bijasiewicz ps. Orlik. Tu mieściła się siedziba sztabu dowodzenia na województwo. Pierwszym komendantem okręgu (województwo) był Józef Sypchański ps. Socha-Strzyk (późniejszy komendant okręgu AK Kraków), a w skład komendy wchodził m. in. Marian Drobik ps. Dzieciol, Celina Iwanowska ps. Celina (kierowała łącznością), Jadwiga Kozłowska (szefantka), Dionizy Wąsowski (oficer wywiadu). Pod koniec 1939 r. SZP została przemianowana na Związek Walki Zbrojnej, a komendantem okręgu został płk Tadeusz Pelczyński, po nim gen. Ludwik Bittner ps. Halka.

W październiku 1939 r. grupa b. studentów KUL, podchorążowie rezerwy i b. członkowie korporacji „Astrea” utworzyli organizację Zolnierze Armii Polskiej. Czołowymi działaczami byli m. in. Zbigniew Maj, Jan Grasz i Wojciech Rokicki (późniejszy „Nerwa” — d-ca oddziału AK). Miasto podzielono na „dozory”, rozpoczęto gromadzenie broni, podjęto propagandę. 11 listopada 1939 roku w drukarni przy ul. Zmigród obito kilkaset ulotek patriotycznych, które rozrzucono w mieszkaniach i na ulicach. Wkrótce działalność tej organizacji została przerwana, a członkowie przeszli do innych ugrupowań.

W połowie lutego 1940 r. w domu przy ul. Sądowej 10 odbyła się głęboko zakonspirowana narada działaczy ludowych w kraju. Udział w niej wzięli Józef Niecko, Józef Grudziński, Jan Domański, Jan Chmielowski i Stanisław Wójcik. Reaktywowano oficjalnie działalność konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego (kryptonim SL ROCH) oraz powołano władzę naczelną — Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego. Na czele okręgu lubelskiego (województwo) SL i BCH stanął Stanisław Wójcik ps. Kwaśniak oraz Stanisław Gryta ps. Rogowski. Kierownictwo okręgu działało w Lublinie, a punkty kontaktowe mieściły się u oficera łączności A. Grabowskiego ps. Tosiak

przy ul. Św. Mikołaja 17 m. 4 i u J. Kwaśniewskiej przy ul. Zamojskiej 47 B. Po dużej „wypie” w listopadzie 1943 r. (aresztowano m. in. Wójcika i Grabowskiego) punkty kontaktowe przeniesiono do mieszkania St. Grzywaczewskiej ps. Stasia (ul. Piłarska 2) i do sklepu materiałów piśmiennych St. Jedraka (ul. Staszica), członka kierownictwa piątki okręgu.

Bataliony Chłopskie nie tworzyły w mieście siatki organizacyjnej, ale związały ze sobą wielu ludzi w kolportażu prasy, przetrzaskach broni, łączności itd. Później pracowali w Lublinie kolejni dowódcy BCH na województwo: Tadeusz Szelaż ps. Leda, Jan Gryń ps. Miron, Jan Barański ps. Czarny, a od 15 września 1943 r. do

wództwem Postowicza-Murzyńca wykonała wyrok śmierci na osławionym kaciu, zastępcy naczelnika więzienia na Zamku — po dłuższych obserwacjach zlikwidowano go w mieszkaniu jego kochanki przy ul. Konopnickiej 4 m. 6. Akcja ta odbiła się głośnym echem w całym mieście. Nie udało się kilka zamachów na gestapowców, w tym na gubernatora Wendlera przy ul. Rusalskiej. Rozbrojono wielu pojedynczych żołnierzy i policjantów, przeprowadzono stałe sabotaże w zakładach pracy, m. in. w Lubelskich Zakładach Mechanicznych przy ul. 1 Maja. Robiła to miejscowa grupa GL pod dowództwem Jana Niezabitowskiego ps. Janek. Spec-grupa posiadała stały kontakt z działającą w

stacji wysokiego napięcia na Tatarsach. Wkrótce działało w mieście 16 zastępów. Prowadziły one ożywione szkolenie, twórczo często poza miastem, wydawały ulotki i przeprowadzały tzw. mały sabotaż. Np. w kinie „Rialto” wyłano na wychodzących kwasy żrące, po śmierci gen. Sikorskiego rozwieziono 450 nekrologów-odezwy. Wkrótce oddziały przemianowano na „Grupy szturmowe” (Gissy), „Bataliony skautowe” (Beesy) i „Harcerzy juniorów” (Hajoty), utworzono odpowiednio 3 hufce. We wrześniu 1943 r. Chorągiew liczyła 285 harcerzy, a w marcu 1944 r. 81 harcerzy. We wrześniu 1943 r. dużą ilość harcerzy skierowano do szkół podchorążych i podoficerów AK. Część z nich przeszła do partyzantki, część pracowała w wywiadzie kolejowym i prowadziła mały sabotaż.

W ramach AK żywą działalność rozwijała Wojskowa Służba Kobiet — na czele kierownictwa okręgowego stała nauczycielka Maria Czyżowa ps. Agnieszka, zastępczynią była Danuta Magierska ps. Weronika, referentką w mieście kierowniczka szkoły podstawowej Zofia Pelczarska.

WSK organizowała w szpitalach kursy sanitarne i szkolenie szefantek, członkinie prowadziły kancelarie różnych jednostek AK, pełniły trudną służbę kurierską, rozprowadzały prasę i ulotki. Na szczególne upamiętnienie zasługują dwie kurierki: Maria Walliszewska, która popełniła samobójstwo w „domu pod zegarem” oraz Maria Świtalska, która także odebrała sobie życie po aresztowaniu jej na dworcu debińskim.

Centralna Opleka Podziemna o kryptonimie OPUS to druga organizacja kobieca podległa AK. Początkowo kierowniczką była Matylda Kowalewska ps. Iza, następnie Irena Antoszewska ps. Danuta.

OPUS koordynował wysiłki różnych organizacji i osób prywatnych w pomocy dla uwięzionych, głównie na Majdanku, ich rodzin, wysiedlonych, dzieci. Akcja ta od 1943 r. przybrała olbrzymie rozmiary. Wy różniły się tu szczególnie rodzina Grygów (właściciele piekarni) i Malmów. Inspirowano i pomagano w tworzeniu ochronek dla dzieci (A. Grygowa przy ul. Dominikańskiej), utrzymywano ściśle kontakt z ruchem oporu na Majdanku (Januszek Zaprawa-Ostromieckim i innymi) i na Zamku. Współdziałała także z komórką BIP AK zwaną Pomoc Żołnierzowi. Na czele PZ stała Zofia Gryga ps. Michalina. „Peżetki” zaopatrywały partyzantów w różnego rodzaju przedmioty, nieraz o charakterze patriotycznym-symbolicznym — ręcznie pisane kalendarzyki, proporce itp. W mieście pracami zajmowały się „Michalina” i „Juka” — Helena Moor.

O dziejach konspiracyjnej oświaty mamy stosunkowo mało wiadomości. Prowadziły ją różne organizacje a także samodzielnie poszczególni nauczyciele. Na czele lubelskiego okręgu Tajnej Organizacji Nauczycieli stali kolejno: radykał i sympatyk komunistów Władysław Petrykiewicz (aresztowany w maju 1941 r. i rozstrzelany), po nim dyrektor Pedagogium Wiktor Helman, sympatyk PPS. Współpracowali z nimi ściśle działacze ludowy Jan Chmielowski oraz pracownik spółdzielni „Nasza Księgarnia” Antoni Kozłowski. Na czele podległego Delegaturze okręgu oświaty i wychowania stał b. wizytator Władysław Odroń. Z ich inicjatywy powstało m. in. konspiracyjne Liceum Pedagogiczne.

Były też różne samodzielne poczynania osób i środowisk, o czym jednak wiemy niestety, bardzo mało. Szczególne zainteresowanie budzi np. istnienie konspiracyjnego teatru (szkoły teatralnej), prowadzonego przez Józefa Klejera i jego żonę Irenę Ładosiową. W lipcu 1944 r. zespół przygotował Zapisków „Moralność pani Dulskiej”, która wystawił natychmiast po wyzwoleniu. Innym wspaniałym dowodem takich inicjatyw jest konspiracyjne wystawienie sztuki Anny Kamińskiej „Klara” przez dzieci z ochronek przy ul. Dominikańskiej oraz przygotowanie przez Zofię Rogoszewską przedstawienia kukielkowego „Dzieci pana majstra”.

Pod koniec okupacji wszystkie organizacje konspiracyjne przygotowywały się do decydującej rozgrywki z okupantem. Dotyczy to szczególnie garnizonów AL i AK. 1 czerwca 1944 r. grupa AL dokonała niezwykłego zamachu na oddział wartowników SS z więzienia na Zamku. Przy użyciu miny elektrycznej, podłączonej do zakładu szewskiego obok Bramy Grodzkiej, zabito wg danych niemieckich 3 esesmanów.

22 lipca grupa AK z rejonu IV pod dowództwem „Merkurego” zaatakowała na szosie warszawskiej cofające się pod naporem ofensywy Armii Radzieckiej oddziały niemieckie, a drużyna „Oriona” obrzuciła granatami Deutsches Haus. W tym samym dniu grupy AL i AK zaczęły opanowywać dworce, cukrownię i gazownię. Zlikwidowano tu kilku Niemców i usunęło kilkanaście min. Żołnierze AK z rejonu II obrzucili butelkami zapalającymi skład benzyny niemieckiej, inne rejonu atakowały elektronicznie, szpital wojskowy w seminarium duchownym, gmach SD oraz stację wodociągową. Oddział „Kmiecia” podjął walkę w rejonie Osmodle-Kwiera.

W dniach 23 i 24 lipca Lublin został ostatecznie wyzwolony. Obok Armii Radzieckiej do miasta weszły oddziały Armii Ludowej dowodzone przez gen. Grzegorz Korczyńskiego, przybyli działacze konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wkrótce Lublin miał stać się siedzibą pierwszego rządu Polski Ludowej — Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Atmosfera wielkiego uniesienia i radości zakłócił jednak wydarzenia o charakterze politycznym. Oddziały AK „wysadzili” w mieście organa Delegatury i Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, które usiłowały uchwycić władzę w mieście. Są to jednak dzieje następnego okresu historycznego.

P. S. Redakcja „Kamień” oraz autor UMCS — Katedra Historii Polskiej zwracają się z gorącą prośbą do Czytelników, którzy mogą wnieść nowe lub uzupełniające, choćby najbardziej nieznane wiadomości o życiu i walce Lublin w latach okupacji, aby nawiazali z nami kontakt piśmenny lub osobisty.

## LUBLIN W TYSIĄCLECIU (VII)

# WALKA PODZIEMNA (1939-1944)

ZYGMUNT MAŃKOWSKI

końca okupacji nauczyciel z powiatu puławskiego Jan Pasiak ps. Jawor.

W tym też czasie ożywiła się działalność lubelskich komunistów, nawiązujących do żywej przed 1933 r. działalności KPP. Inicjatorami byli rodzina Parczyńskich, Stanisław Wcisło, Paweł Dąbek, Ryszard Postowicz i in. Nawiazali oni kontakty ze środowiskiem b. PPS-owców, działaczami radykalnej Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej działającej w pow. krańcickim, lewicą KOP i innymi. W maju 1942 roku w warsztacie szewskim przy ul. Przemysłowej nastąpił historyczny moment: powołano Miejski Komitet Polskiej Partii Robotniczej. Obecny był przedstawiciel KC PPR Władysław Dąbrowski ps. Wujek. Pierwszym sekretarzem KM został wybrany hufcista Tadeusz Wisniewski, b. członek KPP, a po jego aresztowaniu skoczek Marian Pacyna — członkami KM zostali stolarz Stanisław Wcisło (do spraw wojskowych) i Stanisław Stec (sprawy techniczne).

Pierwsze „kontaktówki” PPR mieściły się m. in. w mieszkaniu Steca przy ul. Bernardyńskiej 18 m. 1, u Wisniewskiego przy ul. Parkowej 12 m. 1, u ślusarza Mariana Gołęskiego na Kalinowszczyźnie, u buchaltera Zarządu Miejskiego Jana Szyszły, stolarza z Krochmalni Stanisława Gratka, u b. członka KPP Tadeusza Dymowskiego na Dziesiątej, u Pawła Dąbka (komendanta okręgu GL) przy ul. Narutowicza, w firmie przewozowej St. Kempstego przy ul. Świętoduskiej, w mieszkaniu Wcisły (ul. Wspólna 106), St. Kuźmy (ul. Parkowa 2), u Reginy Ziętkowej i w innych jeszcze miejscach. Stała „kontaktówka” mieściła się także w syropiarni Luban-Wronki.

Zarówno PPR jak i powołana w maju 1942 r. jej formacja zbrojna Gwardia Ludowa rozwinęły wkrótce ożywioną działalność. Powołano „grupe bojową”, w której skład weszli m. in. Henryk Kochar jako dowódca oraz Kazimierz Konowski, Zbigniew Zagójski, Jerzy Stegorowski. Później powstała tzw. Spec-grupa, która dokonała wielu brawurowych akcji w mieście i w sąsiednich powiatach. Dowodził nią Ryszard Postowicz ps. Murzyn, a w jej skład wchodził m. in. Józef Radajewski ps. Warta, Leon Lis ps. Swatek, Stanisław Łazowski ps. Derezyński, Stefan Kasperski ps. Synek, Tadeusz i Stanisław Oszastowie, Jan Stachowicz, Marian Jurowski ps. Druk-Pajak.

Lubelska PPR opierała się głównie na kolejarzach, którzy prowadzili wywiad kolejowy, umożliwiali przetrzy prasy, dokonywali liczących sabotaży. Spec-grupa współpracowała ściśle z radzieckim wywiadem, umożliwiając stałą pracę zruconej w marcu 1944 r. wraz ze skoczkiem radiostacji 017. Pracowała ona przeznaczone na Oszastów przy ul. Stalowej 6 m. 3. Obsługiwał ją początkowo skoczek radziecki Mieczysław Borkowski, następnie Janusz Lewandowski, a po jego zastrzeleniu przez Niemców na Krakowskim Przedmieściu dwu następnymi, także zastrzelonych w czasie obław dzielnicowych.

GL-owcy przeprowadzili wiele akcji. M. in. w 1942 r. grupa pod dowództwem Oszasta zniszczyła magazyn leków niemieckich przy ul. Długiej 6, rozbrajając 2 ładunki. W październiku tego roku grupa z Murzyńcem i Wartą na czele zapaliła na stacji transport kolejowej ze stoma, powodując wielki pożar wśród innych transportów. 18 sierpnia 1943 r. przeprowadzono tzw. eks na kasę urzędu skarbowego, zdobywając fundusze na cele organizacyjne i zakup broni. W lipcu tego roku wyłączone ze składu pociągu wagon z trojtem, zdobywając wiele bezcennego materiału wybuchowego. 17 marca 1944 r. grupa pod do-

obozie na Majdanku konspiracyjną organizację Związek Orzeł, kierowaną przez Kazimierza Malińskiego i Pawła Dąbka. Dzięki tej współpracy w 3 ucieczkach odzyskało wolność 22 ludzi, w tym obaj przywódcy „Orla”.

Polska Partia Robotnicza nie dążyła do nadmiernego rozbudowania swego garnizonu w mieście. Główny wysiłek skierowano na teren województwa. Komenda Obwodu mieściła się stale w Rzezczy-Trzydniku (kryptonim Moskwa), utrzymując stały kontakt z ośrodkami swej konspiracji w Lublinie. Wielu członków PPR, GL i AL przeszło z miasta do oddziałów partyzanckich oraz pracy w terenie, a grupa Murzyńca dokonała wielu brawurowych akcji poza Lublinem.

Od stycznia 1943 r. pracami sztabu dowodzenia AK kierował Kazimierz Tumidajski ps. Edward-Marcin. Główny punkt kontaktowy mieścił się na Starym Mieście. Obwód Lublin obejmował i miasto i powiat, dopiero w marcu 1944 r. wydzielono miasto w osobny obwód.

Początkowo na czele obwodu stał Stanisław Krawczyk ps. Smętny do stycznia 1940 r., następnie Tomasz Skarzyński ps. Bóbr (aresztowany 22 kwietnia 1942 r.), Robert Bijasiewicz ps. Orlik, Jan Rolfski ps. Jan (do jesieni 1943 r.), Konrad Schmeding ps. Konrad-Mońt, a po rozłączeniu komendantem miasta został Stefan Debicki ps. Kmiecia-Jaska. Miasto podzielono na 5 rejonów, w każdym z nich uformowano plutony. Np. w rejonie I, obejmującym tereny poza tunelem, były 2 plutony tzw. Służby Ochrony Powstania — dowódcą jednego był wielce zasłużony rzemieślnik Józef Zakrzewski ps. Ignac, właściciel dołdziej Jan Litwinluk ps. Jądźwąg.

Działalność agentów polegała przede wszystkim na likwidacji agentów i funkcjonariuszy policji, rozbudowanych akcjach propagandowych, prowadzonej na dużą skalę produkcji granatów i kolców przeciwpojazdowych, prowadzeniu specjalnych szkół podchorążych itp. Ze znanych akcji dokonanych przez AK na uwagę zasługują likwidacje konfidentów: właściciela sklepu z kapeluszami na Krakowskim Przedmieściu, agenta Kosińskiego w ruinach getta, żony osławionego gestapowca i karta Żydów Lubelskich Lela, kierownika Arbeitsamtu przy pomocy bomby zegarowej na ul. Szopena, zabicie 19 lipca 1944 r. w Deutsches Haus zandarma Sajowitza oraz ranienie 3 Niemców. Wg oficjalnych danych od 1942 r. wyprodukowano 35 tysięcy granatów. Produkcją kierował inspektor uzbrojenia w Komendzie Okręgu inż. Rybiński ps. Krak-Chmiel, a udział brał m. in. Irena i Leon Rembarzowie, Teofila i Ignacy Zakrzewscy, Jan Springer, inż. Holyst, Franciszek Wituch. Na Dziesiątej mieścił się stały punkt sprawdzania zrutowych i przestanych z Warszawy stacji nadawco-odbiorczych (ok. 50 sztuk), a stacja „33” pracowała bardzo blisko miasta.

Latem 1943 r. utworzono konspiracyjną szkołę podchorążych z kilkuset słuchaczami. Zajęcia praktyczne odbywały się zazwyczaj w okolicy Pszczyłej Woli. Po egzaminie końcowym w kwietniu 1944 r. większość elewów przeszła do oddziałów Szarugi, Opala, Rysia i Nerwy. W 1943 r. utworzono także szkołę podoficerów, której dowódcą był st. sierżant ps. Drzymała. Zajęcia teoretyczne odbywały się w mieszkaniu Zabłockich przy ul. Gromadzkiej 28, praktyczne w rejonie Motycza. W maju 1944 r. kilkunastu uczniów zdało egzamin końcowy. Biuro Informacji i Propagandy AK wydawało w mieście pisma „Zew” i „Nasza Warta”. Ponadto wydawano stałe nasłuch radiowe (zespół z Zygmuntem Szubartowskim ps. Jawor na czele), druki ulotne (prorocstwa Saby), pracowała wytwórnia niemieckich druków i stempli (Ignacy Zakrzewski) itp.

Harcerstwo, noszące w czasie okupacji kryptonim „Szare Szeregi”, pracowało prawie od samego początku konspiracji. Zostało jednak trzykrotnie rozbite i dzieje się zasługują na osobne opracowanie. Chorągiew lubelska była oznaczana kryptonimami „Zboże” i „Oficyna IV”.

15 marca 1943 r. krąg b. harcerzy powołał i Tajną Drużynę Harcerską z Janem Wiesławem Krawczykiem ps. Witold na czele. Akcję inspirował nauczyciel Eu-stachiewicz ps. Ksawer. Zebrania i uroczystości odbywały się najczęściej na pod-

# Przegapienie wzbronione!

(Dokończenie ze str. 1)

kreślają jako wielką atrakcję Polski „swobodę poruszania się w krajobrazie”.

Scentralizowanie ruchu turystycznego zmusza do deglomeracji, ponieważ nadmierne zagęszczenie, przegapienie jego sensu (vide nasze Zakopane).

Masowość ruchu turystycznego — ciekawa jako zjawisko społeczne — coraz bardziej staje się także ważnym problemem ekonomicznym.

Oto w lapidarnym skrócie ogólna charakterystyka „sytuacji turystyki” — jako wstęp do rozważań o turystycznym zagadnieniu w województwie lubelskim. Przypomnienie tych oczywistych prawd wydawało mi się konieczne, ponieważ osobliwie przekonalem się, że dla wielu ludzi „odpowiedzialnych” rzeczy te bynajmniej oczywiste nie są. Stąd niedostrzeżenie szans i perspektyw, chałupniczo-amatorskie podejście do spraw turystyki, traktowanie jej jako nieszkodliwego hobby, spychanie na margines zainteresowań i... budżetów. Przykładowo można podać, że na kilkunastuosobowy zespół Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki (WKKFIT — ta ostatnia litera jest bardzo... malutka) sprawami turystyki zajmują się... dwie. Na tym połączeniu spraw sportu i turystyki — turystyka wychodzi fatalnie, i to w skali całego kraju.

Rozwój ruchu turystycznego w województwie lubelskim jest odbiciem ogólnych naturalnych tendencji, o których pisałem na wstępie. Powszechny wzrost tego ruchu, a ponadto żywiołowa „deglomeracja”, poszukiwanie nowych terenów i atrakcji, w ruchu wewnętrznym zaś ekonomia dojazdów — sprawiły, że liczba turystów w ciągu pięciu lat wzrosła na Lubelszczyźnie pięciokrotnie i zbliża się do dwóch milionów rocznie. Co prawda dwa miliony turystów rocznie ma... samo Zakopane, ale tam jest tendencja do stabilizacji, a nawet spadku, u nas zaś — do gwałtownego rozwoju. Skutecznie jednak hamowanego przez radykalne braki organizacyjne, przez żalony wręcz stan „bazy” noclegowej i gastronomicznej, rażące niedostatki reklamy i propagandy. Od strony psychologicznej — przez nierozpoznanie skutków społecznych i ekonomicznych tego zjawiska.

Nie będę tu się zagłębiał w cyfry, bo są meczące, a ponadto dane dotyczące turystyki, są „szacunkowe”, nieprecyzyjne, choć pozytywne. Wystarczy stwierdzić, że już teraz brakuje w województwie około tysiąca miejsc noclegowych, niedobór zaś „miejsc konsumpcyjnych” wynosi ponad 16 tysięcy. Wystarczy powiedzieć, że właściwie nie podjęliśmy żadnej poważnej inwestycji turystycznej, od podstaw, nie potrafimy nawet ratować sytuacji chałupniczym. Owszem, wybudowano sporo ośrodków zamkniętych, należących do zakładów pracy. Cieszy to, ale i martwi zarazem, po-

nieważ stwarza stosunkowo nieliczną grupę „uprzywilejowanych”. Obiekty dostępne dla wszystkich są nieliczne (niepełna 2 procent miejsc w całym kraju, co dobrze charakteryzuje rolę Kociuszki), a wręcz niedzielnym standardzie wyposażenia.

Dlaczego nie budujemy? Dlaczego nie inwestujemy?

Odpowiedź wydaje się całkowicie naturalna i nie do odparcia: brak pieniędzy. Na przykład w bieżącym planie pięcioletnim z Centralnego Funduszu Rozwoju Turystyki otrzymujemy 20 milionów złotych na całe województwo. Co z tym można zrobić? Co więcej: wnioskując z przeszłości obawiam się, że i tego nie potrafimy wydać, w każdym razie wydać sensownie. I wtedy uruchomi się drugi nieodparty argument o „braku mocy przerobowej”.

Jeśli jednak temu wszystkiemu przyjrzeć się bliżej, to rzecz nie tkwi w braku pieniędzy, bo są szanse na zdobycie wielu dodatkowych milionów, tych choćby nie wykorzystanych gdzie indziej. Nie tkwi też w „mocy przerobowej”, którym to zakłębieniem nieraz próbuje się osłonić nieudolność organizacyjną, brak sensownego i konsekwentnego planu, brak inicjatywy i pomysowości.

Niedawno uczestniczyłem w „wędrownym” seminarium dziennikarzy po województwie krakowskim. Choć i tam daleko do idealu, niemniej można się nauczyć. I takie seminarium na pewno by się przydało naszym władzom — nie tylko turystycznym. Na przykład: w jaki to sposób powiat Nowy Sącz potrafi „przerabiać” miliony złotych, niejako w ostatniej chwili przejęte od innych, bardziej niemrawych powiatów? Chyba dzięki dobrej organizacji przedsiębiorstw. Jak to się dzieje, że w powiecie limanowskim zarejestrowano 1500 kwater prywatnych, podczas gdy w naszym województwie zaledwie 250? Nawet chałupniczych problemów nie potrafimy organizacyjnie rozwiązać...

Poważnym hamulec turystyki w naszym województwie, obok braku dachu i jada są niedostatki komunikacji, która na przykład na Roztoczu turystów prawie w ogóle „nie dostrzega”, kolejny hamulec — to prawie całkowity brak reklamy przez odpowiednie wydawnictwa. Czym innym bowiem tłumaczyć fakt, że nawet tam, gdzie są stacje turystyczne, co prawda nędznie wyposażone — jak na przykład w Suścu, w Batorzu, czy w Zawieprzycach — przeciętna frekwencja jest tak niska, że nawet myśli o ich... likwidacji? Oczywiście, pewien wpływ ma na to fakt, że nasz „EK” „uubilo” sobie stacje dwudziestoosobowe, w związku z czym nie może tam kierować swoich wycieczek autokarowych... czterdziestoosobowych. Ale turystę indywidualnego odstrasza... niewiedza. Bo skąd ma wiedzieć, że takie miejscowości istnieją, że może tam liczyć na jakieś takie łóżko i wózek? Skąd ma wiedzieć, że w tej miejscowości zobaczyć można niepowtarzalny dzwiz przyrody, w tamtej odkryć skarby... historii, w innej wspaniałe życie, leżące powietrze wodnych puszcz?

Istnieje „turystyczna biblia” — przewodnik po województwie lubelskim, trzysta osiemdziesiąt stron

z mapkami... Ale — jako że został wydany lat temu dziesięć — istnieje tylko w zasrobie strzeżonych szafach starych turystycznych wyg. Jest zresztą przestarzały. W naszym szybko rozwijającym się gospodarstwie województwie dziesięć lat to prawie epoka: to dziesiątki nowych dróg i fabryk, to także nowe miasta.

Praktycznie rzecz biorąc oprócz wydanego niedawno skromnego folderu „Szlakiem walk partyzanckich” — spragniony wiedzy turysta nie znajdzie w lubelskich księgarniach. Dziwi fakt, że w sukurs naszej turystyce nie chce przyjść Wydawnictwo Lubelskie. Pięknie zasłużone w wielu dziedzinach życia regionu — jakoś do spraw turystyki nie chce się zniżyć. Może — ponity? Bo turystyka to coś takiego prawie jak kryminał...

Szanując to dostojęństwo Wydawnictwa nie śmiem proponować wydawania propagandowych folderów. Ale czy na przykład nie można by zrobić pięknej książki „Szlakami legend lubelskich”? Jest ich niemało, a w ogóle nie potrafimy ich „sprzedać”. Utrwalone tylko w przedwojennej i nieco infantylnej książeczce pani Sliwiny ulegają zapomnieniu. W krajach o rozwiniętej turystyce — na przykład we Francji — można spotkać dwa typy przewodników: nieduże, lapidarnie informujące, maksymalnie treściwe (nasze są na ogół rozgadane i sztucznie rozwlekłe — chyba ze względu na „wierszówkę”) i — niejako zbiórki doskonale napisanych reportaży, pokazujących „historię żywą”.

Można by też... Wiele by można. Najpierw jednak trzeba przełamać w Wydawnictwie Lubelskim ten dziwny wstręt do turystyki. Gotów jestem wziąć dyrektora na kajakowy spływ Tanwią...

Wele nie żartuje. Czasem wydaje mi się, że jedną z przyczyn słabego zainteresowania naszych władz turystyką jest właśnie to, iż przedstawiciel ich nie można dostrzec — z plecakami idących w słońce... Bo przecież nie dam sobie mówić, że po prostu nie dostrzegają ekonomicznych skutków turystyki, która i u nas będzie musiała zrodzić „turystyczny przemysł”. A to stwarza poważną szansę aktywizacji regionów gospodarczo zaniedbanych, które w dodatku, jak Pojezierze i Roztocze, ze względu na słabe gęby i brak surowców przemysłowych innych poważnych szans nie mają. Dzięki wynajmowaniu kwater i sprzedaży produktów wzrastają bezpośrednie zarobki ludności. Dzięki turystyce można tworzyć niezwykle tanie miejsca pracy. Związane z „przeobrażeniem budżetów” (w kierunku turystyki) może wyrównywać różnicę między dysproporcje gospodarcze. Nie można także przegapić faktu, że turystyka przyczynia się do aktywizacji kulturalnej.

To wszystko stwarza palącą konieczność stworzenia dalekosiężnego planu jej rozwoju.

Wielu ludzi nawet interesujących się turystyką zdziwi zapewne fakt, że taki plan właściwie mamy. Mnie jednak nie dziwi — ich zdziwienie. Plan ten bowiem spoczywa w szufladzie. Przygoto-



Fot. A. Polakowski

wany został przez Wojewódzką Pracownię Urbanistyczną. Wyznacza on — co prawda w sposób ogólny — tereny rekreacyjne, tereny turystyki podmiejskiej, „świątecznej”, miejscowości kolonijne, czasowe, ośrodki dla turystów wędrownych i „pobytowych”, centra turystyczne — na przykład Zwierzyniec dla Roztocza, Sosnowica dla Pojezierza. (Ale oto przykład Sosnowicy: kuchnię jedynej gospody GS zamyka się już o godzinie 16. Zbyt duża „szczelina” między planem i rzeczywistością).

Program naszych urbanistów jest, oczywiście, dyskusyjny. Tyłko, że nikt nie ma ochoty nad nim dyskutować. A dyskusja jest przecież niezbędna, jest warunkiem prawidłowego inwestowania.

Paradoksalny, ale mało zabawny jest fakt, że choć tak niewiele zrobiliśmy w dziedzinie inwestycji turystycznych — jednocześnie tak wiele popełniliśmy błędów. Wystarczy przypomnieć jezioro Białe koło Włodawy...

Ale nie chodzi tylko o budownictwo turystyczne w najbliższej przyszłości. Chodzi o zabezpieczenie terenów rekreacyjnych i turystycznych nawet na rok dwutygodniowy — i później. Przecież jesteśmy jednak odpowiedzialni za przyszłość i nie mamy prawa oszczędzać życia naszym wnukom. Nie są to tylko teoretyczne rozważania. W województwie krakowskim przez wiele lat toczono zaciełe batalie, by ograniczyć (niezależnie od potrzeb) rozwój

zatrważającego powietrza i wodę przemyłu w powiatach południowych — właśnie najbardziej „rekreacyjnych” i „turystycznych”. I u nas przecież występują podobne zagadnienia. Choćby problem Puław — gdzie stawia była jednak zbyt duża. Ale istnieje także sprawa Zwierzyniec i jego przemyłu. Jest sprawa Zawieprzyc — miejscowości o ogromnych atrakcjach turystycznych ze względu na zabytki, legendy i położenie — zairuje jednak siekawkami, spływającymi z Lublina Bystrzycą i Wieprzem. Podobne problemy będą z każdym rokiem narastać. I boję się o wynik tej walki między miejscem do pracy i miejscem do odpoczynku. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie ma dobrej pracy bez dobrego odpoczynku.

W każdym razie, decydując się, w rejonach rekreacyjnych, na wstrzymanie inwestycji przemysłowych — musimy szybko inwestować tam w turystykę. Ludzie nie mogą czekać z założonymi reklamami i pustym żołądkiem.

Zadaniem pierwszym i najpilniejszym jest pełne uświadomienie sobie tego problemu na wszystkich „szczeblach” naszej władzy.

Warto chyba na zakończenie przypomnieć, że według ostrożnie wyliczonej prognozy „zapotrzebowanie na turystykę” — wszelkiego rodzaju i autoramentu — do roku 1980 ma wzrosnąć pięciokrotnie. Już to nieźle wyznacza miarę problemu — i godne jest nareczenie poważnego zastanowienia. Przegapienie wzbronione!

Janusz Danielak

# KAZIMIERZ NA ZAKRĘCIE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kim jednak tutaj spędza wakacje młodzież. Pewnie i dlatego, że nie-moralna „malaria” utarowała im drogę: nikt w Kazimierzu nie pyta pary wynajmującej pokój, czy brała ślub.

Pruszkowski przylatywał do Kazimierza własną awionetką i lądował na plaży. Dzisiaj młodzi artyści pływają żabką po Wiśle w miejscach oznaczonych bojami, ale jak i poprzednie pokolenia eksycytuje ich niepowtarzalna atmosfera Kazimierza. Krąg entuzjastów miasteczka powiększa się z każdym dniem.

W pierwszym czerwcowym numerze „Kultura” zamieściła „prawie że filmowy” reportaż W. Sikulskiej: „Kazimierz zagrożony, czyli inwazja Azotów”. W Kazimierzu śle się dzieje. Marazm i niezadorność. Brak pieniędzy w miejskiej kasie. Brak najpotrzebniejszych inwestycji, związanych z życiem codziennym i z wymogami turystyki. Wielka szansa Kazimierza to puławskie Azoty, które chcą tu budować i inwestować. Kierownictwo Azotów stwierdza z rozgoryczeniem... „Zakłady nasze mają środki, chcemy je inwestować w Kazimierz. Ale nie chcą nas, nie potrzebują i gdzie tu rozum?” Architekt Siciński, kon-

serwator Kazimierza, poki żył, jak Rejtan bronił miasta. Jednak i obecnie... „Stara przedwojenna gwardia bywałoć Kazimierza, której wtórnie chór urbanistów, historyków, konserwatorów zabytkowej architektury, (wola): — Groźną nam „Azoty”. I tak już Dom Prasy zamieścił widok Kazimierza. Zobaczenie, co się u nas dzieje w świętej Twójta do cieniu kamieniczek Przybłowa! Brońmy Kazimierz!” W budownictwie kazimierzowskim — stwierdza autorka — wszystko obraca się wokół problemu zamku. Wokół sprawy nietworzenia wysokościowych akcentów, które umniejszą znaczenie starej, historycznej budowl. „A zamek królewski, nie budujemy się, to dziś kupa kamienia. Historycznego. Można wspiąć się, zasapać i westchnąć”.

Chyba to właśnie zdanie jest problemem reportażu, który porusza wiele zasadniczych nie wakacyjnych, ale codziennego dnia Kazimierza.

Od chwili, kiedy wytyczono pierwszą linię pod budowę przyszłych Azotów, Kazimierz został skazany na zagładę jak chcą jedni, lub uratowany, jak uważają inni. Puławy chcą inwestować w Kazimierz. Liczni urbanisci, historycy i konserwatorzy wypowiadają się za utrzymaniem status quo. Sympatycy Kazimierza podzielili się

na dwie grupy. Jedni są za historią, inni stawiają na przyszłość.

Kierownictwo Azotów pragnie wybudować w najbliższej okolicy Kazimierza kolonię domków jednorodzinnych dla swoich pracowników. Miasto otrzymałoby zastrzyk młodej inteligencji, która zaktywizuje Kazimierz. Puławy obiecują wybudować stadion sportowy i szereg innych potrzebnych miastu obiektów użyteczności publicznej. Już dzisiaj Azoty pomagają przy budowie wyciągu narciarskiego, którego istnienie przedłuży o kilka miesięcy sezon wypoczynkowy i turystyczny. Nie o to jednak toczy się batalia. Głównym przedmiotem sporu jest projekt wybudowania w Kazimierzu domu wypoczynkowego Azotów. Puławy upatrują w sobie dogodną miejscę lokalizacji: przeciwległą do wzgórza zamkowego góry, na której zbrocu mieści się tzw. „pierwszy cementarz”. Widać stąd cały Kazimierz i Wisłę aż do samych Puław.

Urbanisci twierdzą, że zlokalizowanie w tym miejscu domu czasowego byłoby kompozycje plastycznej Kazimierza. Tworzenie wysokościowych akcentów umniejsza m. in. znaczenie zamku, tej charakterystycznej dla Kazimierza budowli. Właśnie tej kupy historycznego kamienia, na którą można wspiąć się, zasapać i westchnąć, plus dwóch kamieniczek w Rynku, które to obiekty powodują — o czym należy jednak pamiętać — przyjazdy do Kazimierza 50 turystycznych autokarów dziennie.

Urbanisci stoją na stanowisku, że Kazimierz powinien być miejscowością wybitnie turystyczną i sprzeciwiają się budowie większych obiektów czasowych. W wypadku

Azotów poszliby jednak na ustępstwa. Proponują dwie koncepcje: albo zlokalizowanie domu czasowego w okolicach wawozu Małachowskiego, w pobliżu Domu Prasy, albo przeniesienie go jeszcze dalej za Dom Turysty i tam na wzgórzach wybudowanie całego ośrodka wypoczynkowego (w okolicy, na Albrechtówce, będzie się budować podobny ośrodek — motel Orbis, na kilkaset miejsc). Ale taka koncepcja nie odpowiada podobno Azotom.

Ortodoksi „czystości Kazimierza” wysuwają tezę, że za puławskimi czasami zwał się na Kazimierz puławskie niedzielne wycieczki pracownicze, a za nimi strzelnice i karczule, huśtawki i diabelskie młynki; prysnęł spokój i cisza, jak przyka przy każdorazowym uświetnieniu już tradycją zjeździe motorowym, który co roku odbywa się w Kazimierzu.

Gdzie się w Kazimierzu kończy dbałość o historię i tradycję, a gdzie zaczyna dbałość o dzień dzisiejszy, trudno odgadnąć. Niedawno prasa codzienna doniosła, że zespół architektoniczny Kazimierza, po dokonanej ostatnio weryfikacji zabytków w województwie lubelskim, zostały zaliczone do grupy 0, do której należą obiekty najwyższej wartości historycznej i naukowej. Sława dla miasta i jego historycznych ambicji! Ale, dlaczego zmienia się w Kazimierzu nazwy miejsc, które już się zrosły z historią miasteczka i które stanowiły o jego kolorycie? Jeden z najpiękniejszych i najbardziej malowniczych wawozów — Plebanka — przekształcił się nagle w... ulicę Partyzantów. Wawóz Małachow-

skiego to obecnie ulica Małachowskiego. Mały, zapuszczony wawozik odchodzący w bok od ulicy Góry, kilka lat temu, po lotach Gagarina i Titowa, nazwano szumną nazwą Ulicy Pierwszych Kosmonautów Radzieckich. Czy nikogo nie razi ta śmieć?

Kazimierz nie zawsze może pojąć, że nazwa „wawóz” ma konkretnie stanowić o zaoferowaniu. Siciński to rozumiał. Klębił się, ale i tłumaczył. Teraz nie ma konserwatora Kazimierza, a konserwator wojewódzki nie zawsze ma czas i wiele drobnych nie dostrzega. Ale z małych rzeczy rodzą się wielkie. Przy Krakowskiej, jednej z głównych ulic Kazimierza, powstał, nie wiedzieć kiedy, ośrodek czasowy jakiegoś przedsiębiorstwa, złożony z przetrzałymi pomalowanymi domków campingowych. Przed restauracją Esterka, dawnym „Berensem”, urządzono kawiarenkę na wolnym powietrzu. Dopóki nie było pieniędzy stały tutaj stare urne stołki z marmurowymi blatami i zielone ogrodowe krzesła. Ale gastronomia ruszyła kiesz i oto mamy wyposażenie: dzienne twory ze szkielej i drutu. Zabytkowa fara wymagała odnowienia zewnętrznej elewacji. Odnowiła się ją. Ale wiedzcie nikt z konserwatorów nie zabrał do Kazimierza. Zobaczyliby śnieżnobiałą kościół.

Od wielu lat jest Kazimierz „perłą” i na tym koniec. Miasteczko, mimo że ciągle się o nim mówi, leży gdzieś z dala od głównego nurtu działalności kulturalnej. Czasem wydłże książka wspomnień o Kazimierzu, czasem ukaże się album sławiący uroki miasta. Kazimierz nie jest aktywny, to prawda. Ale od lat zostawał właściwie pozostawiony samemu sobie. Kazimierz nie jest przeciętnym, zwykłym miasteczkiem i ze swoimi zabytkami i tradycjami mógłby się może stać jakimś małym centrum. Turystycznym, wypoczynkowym, czy arty-

(Dokończenie ze str. 9)

# SASZA

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

SASZA był wyjątkowym chłopcem i wkrótce połączyli nas wezły przyjaźni. Raczej niskiego niż średniego wzrostu, dość tegi, o charakterystycznej dużej głowie i poczywanych piwnych oczach, uczył się średnio, ale był zdolny i mało nad lekcjami pracował. Czas wypełniał to mu co innego. Później się dopiero o tym dowiedziałem. W szkole imponował nam swoją głową, nie tyle pod względem intelektualnym, ile praktyczno-fizycznym. Ileż to potwora! Wstawała jakaś bójka, Sasza nigdy nie posługiwał się rękoma ani nogami, jak to czynili inni chłopcy: jak kozioł walił wówczas głową niczym olbrzymim taranem i wróg natychmiast ustępował mu z placu.

Był synem oficera. Matka jego była przełożoną prywatnej szkoły żeńskiej. Miał jeden skarb; zazdrościłem mu go ogromnie (o innych nie wiedziałem jeszcze) — wszystkie dzieła Juliusza Verne'a, które mi chętnie pożyczal. Potem zaczęliśmy się odwiedzać wzajemnie i zaprzyjaźniliśmy się na dobre. Szczęry, koleżeńki, uprzejmy, pełen subtelności — przepadł mi do serca.

Niedzielnego popołudnia. Słoneczny dzień wiosenny. Idziemy we dwójkę na wycieczkę do Białawina, gdzie stały ruiny wieży strażniczej z czasów średniowiecza. Jestem pod świeżym wrażeniem przeczytanej właśnie książki Bousse-narda „Bez grosza w kieszeni” i z przejęciem opowiadam przyjacielowi jej początek — zakład bohatera powieści, że bez pieniędzy odbędzie podróż naokoło świata. Powieść jest napisana bardzo żywo i plastycznie, mnóstwo dialogów, a narracja utrzymana prawie wyłącznie w czasie teraźniejszym. Udaje mi się zainteresować Saszę przebiegiem zebrań, na którym zapadła decyzja Pennylosa podjęcia takiej próby. Później zaczynamy rozmawiać na temat wartości różnych rodzajów broni. Z uporem godniejszą lepszej sprawy obstaję przy wyższości łuku nad bronią palną. Przynajmniej argumenty zapożyczone z innej powieści tegoż Bousse-narda: a to, że z łuku strzela się bez żadnego hałasu i nie płoszy się zwierzę; a to, że strzałę z zabitego zwierzęcia można użyć powtórnie, czego żadną miarą nie można dokonać z kulą po zużyciu naboju w strzelbie; a to, że łuk jest znacznie tańszy i można go sobie sporządzić samemu itd. itd. Sam nie wierząc w to, co mówię, przekornie broniłem swojego paradoksu, starając się przekonać Saszę, zaśmiewającego się z moich usiłowań. Wreszcie poddaję się, wtórując mu śmiechem, a potem rozmowa nasza schodzi na temat balonów sterowych. I oto Sasza zwierza mi się z tajemnicą. Twier-

dzi, że przyszedł mają przed sobą jedynie aparaty cięższe od powietrza, przypominają mi o niedawnym bohater-skim locie Blériota przez Kanał La Manche i oświadcza, że pragnąłby zostać konstruktorem aeroplanów i lotnikiem. Jak się okazało, Sasza już budował samoloty. Oczywiście na razie były to małe modele jedno- i dwupłatowców Blériota i biplanów Wrighta czy Farmana. Rozmiar skrzydeł, steru i śmigła — wszystko było obliczone z dokładnością matematyczną, bo mój przyjaciel miał mnóstwo książek z dziedziny awiacji.

Samoloty były jego namiętnością — to one nieraz odrywały go od książek szkolnych narażając na przykre dwójki. A pewnych wakacji na wsi Sasza sam zbudował mały szybowiec, na którym przeleciał kilkanaście metrów.

W parę lat później zaszedł drobny wypadek charakterystyczny mojego kolegi. Inspektor Baryłowicz zwrócił nam uwagę, że spacerujemy po ulicy w zbyt licznym gronie, przez co tamujemy ruch przechodniów. Zapowiedział, że oddać spacerować można tylko parami, przechadzka nawet we trójkę byłaby karygodnym przestępstwem.

I oto w głowie Saszy powstaje kapitalny pomysł. Wiedzieliśmy, że już o pół do szóstej inspektor zjawia się na głównej ulicy — naszym corso, aby kontrolować spacerujących i dopilnować powrotu ich do domu na szóstą. Tego dnia zgromadziła się prawie cała nasza klasa na ulicy. Spacerowaliśmy stosownie do rozporządzenia parami, ale kiedy inspektor miał się lada chwila ukazać na ulicy, uszeregowaliśmy się po jednemu i w ten sposób gęsiego rozpoczęliśmy defiladę. Za chwilę zjawił się Baryłowicz. Witaliśmy go wszyscy poważnym ukłonem, choć bystrzejszy obserwator mógłby zauważyć w naszych oczach figlarny błysk triumfu. Oczywiście demonstracja taka zwróciła uwagę całej ulicy, inspektor był wściekły, ale nie mógł nam zrobić. Nazajutrz jednak nie wytrzymał i na lekcji rosyjskiego zapytał, kto był inspiratorem wczorajszego pochodu. Cisza zaległa klasę, ale po chwili powstał z miejsca Sasza i patrząc w oczy nauczyciela powiedział krótko: — Ja! — Inspektor spojrział na niego i rzucił mu tylko jedno zdanie: — Nie trzeba było tego robić! — Na tym incydent się zakończył, a ja odniosłem wrażenie, że Sasza jakby żałował nawet, że sprawił przykrość Baryłowiczowi, który na ogół był przez nas tolerowany.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Sasza zaczął się interesować komunikacją powietrzną, i mnie urzekło niebo, ale zupełnie z innej strony. Posiew mojej nowej pasji

rzucił oczywiście Verne powieściami „Z ziemi na księżyc” i „Dokoła księżyca”. Z przejęciem chłonałem stro-nice przedstawiające prymitywną, nieudaną zresztą próbę dotarcia na księżyc w pocisku wyrzucenym przez olbrzymią armatę, czy dalsze loty w przestrzeń astralną w „Hektorze Servadacu”. A potem Wells i jego „Pierwszi ludzie na księżycu” po polsku w skróconym wydaniu dla młodzieży. Przeraziło mnie oczekiwanie zagłady świata w jego książce „W dniach komety”, tym bardziej, że właśnie ziemia wkrótce miała się spotkać z kometa Halley'a. Zjawisko to zresztą przeszło bezboleśnie i poza garstką wtajemniczonych — niedostrzegalnie. A później zetknąłem się z Flammarionem, jak ktoś w artykule pośmiertnym nazwał znakomitego astronoma francuskiego Kamilla Flammariona. Książki jego działały na moją wyobraźnię jak narkotyki. Zaczęły się dni upajającej romantyki astralnej. I dla mnie posażek Uranii ożył, zstąpił z zegara i oprowadzał mnie przez międzygwiazdne przestrzenie. A pierwszą moją miłością stała się śliczna i mądra Stella, godzinami przesiadująca z mną — Rafaelem przy teleskopie. Ze starej matczynej lornetki konstruowałem misterne lunety, przez które oczy me wędrowały po niebie. Oczywiście gołym okiem można było zobaczyć więcej niż przez te parodie teleskopów. Ale czarny strop niebieski rozszerzył swe granice do nieskończoności, a wszechświat zaludniły miliony układów słonecznych.

Pamiętam mroźny wieczór zimowy. Na górze katedra-nej gromadka starszej młodzieży otaczająca nauczyciela, który co głośno objaśnia. Zbliżam się, drugoklasista, do grupy uczniów. Mam „protekcję”: jest tam starszy brat Saszy, nie przepędzą mnie stamtąd. A jest na co patrzeć. Ogromna luneta astronomiczna na statywie celująca swym szklanym okiem w jasną błyszczącą gwiazdę. Planeta Venus. Gdy udało mi się wyprosić kilkanaście sekund spojrzenia, nie mogłem się oderwać od soczewki: urzekł mnie spokojnym srebrnym światłem maleńki rogalić planety. Dowiedziałem się, że Venus, podobnie jak księżyc, ma swoje kwadry. Już nie wystarczała mi podróży na nasze go satelitę, rollem wyprawy międzyplanetarnej, chłonałem „Wieżnia na Marsie” i „Nieznane krainy”. Niedawny dyrektor cyrku in spe i detektyw zapragnął zostać astronomem.

To więc wspólne umiłowanie nieba, moje — bardziej marzycielskie, a Saszy — praktyczne zbliżyło nas jeszcze bardziej do siebie. Lecz gdy moje marzenia rozwijały się jak miraż, jego — miały się w przyszłości smutnie zrealizować. Bo oto po kilku latach, będąc już na uniwersytecie w Charkowie, wyczytałem w miejscowym organie krótki, a tak wymowny komunikat: nieprzyjaciel zestrzelił samolot rosyjski, którym kierował pilot Aleksander Sawwatejew. Zginął na miejscu.

A więc spełniło się jego dziecięce marzenie. Został prawdziwym lotnikiem na prawdziwym aeroplanie wojskowym. Prul śmigłem fale powietrza i rozkoszował się bezkresnym przestrzeni. Unosił się w niedościgłe wyże, skąd obserwował pozycje wojsk nieprzyjacielskich. Aż wreszcie kula niemiecka uszkodziła mu silnik, którego serce bić przestało. Runął z niebieskiej wysokości w rozwartą otchłań. O czym myślał spadając z błyskawiczną szybkością na ziemię? Czy o tym, że ginie za ojczyznę, którą kochał? Czy że zostawi matkę, której już nic nie pocieszy. A może wtedy w ostatniej chwili, gdy miał się zwinąć już zupełnie runął jego dąb, przemknęła mu w myśli twarz przyjaciela — Polaka, z którym w dzieciństwie roił sny bohater-skie o podboju powietrza? Przyjaciela, przelotem sążone było przeżywać triumf lotnictwa od przelotu Lindbergha przez Atlantyk do pasażerskich odrzutów i rakiet kosmicznych.

Fragment przygotowanej do druku książki „Wywoływanie duchów”

# NIE bez wielkiego napięcia stanąłem przed obliczem Jana Lorentowicza z egzemplarzem mojej komedii. Po latach wojaczki w czasie pierwszej wojny światowej debiutowałem, a w dodatku niezbyt pewnie czułem się bez munduru. Lorentowicz sztukę przyjął, a po tygodniu powiedział: sztukę wystawie, ale musi ją pan lepiej opracować. Po kilku tygodniach usłyszałem to samo. Zapytałem go wtedy, jakie zmiany zaleca. Odpowiedział krótko: to pańska sprawa. Dopiero po trzeciej wizycie był zadowolony.

Do dzisiaj podziwiam niezwykłą pracowitość tego człowieka. Był przecież dyrektorem trzech teatrów, a jednak nie żałował czasu, aby trzy razy czytać sztukę początkującego autora.

Wysoki, barczysty, robił imponujące wrażenie. Nieodłączną cechą jego charakteru był spokój, który dawał mu władzę nad ludźmi. Tylko niezwykle rzadko jakieś niebacznie użyte słowo lub niewłaściwe zachowanie się mogło zakłócić ten olimpijski spokój. Wtedy w charakterystyczny sposób mrużył oczy, nabierające w takich chwilach jakiegoś niezwykłego blasku.

Pamiętam, że już w marcu 1937 r. twierdził, iż wojna jest nieunikniona i że on jej nie przeżyje. Istotnie — zmarł w marcu 1940 r. Odwiedziłem go w przeddzień śmierci. Był jakby niezwykle zagniewany. Opuścił go spokój, a całym swoim zachowaniem, całym wewnętrznym ogniem protestował przeciw okrucieństwu śmierci, pozabawiającej życia człowieka w pełni sił umysłowych.

Jak bardzo postać, którą na żywym przykładzie kształtuje sobie autor, potrafi być inna w interpretacji nawet znakomitego aktora!

Do roli Collinsa w mojej komedii „Wojna i miłość” Osterwa upatrzył sobie Mariusza Maszyńskiego. Dla mnie Collins był towarzyszem broni. Ten smukły, na suchych nogach, z nieodłączną fajeczką Anglik miał w sobie tylko resztki tradycji narodu kolonizatorów. Był typowym globtrotterem, który gonił po świecie za złotem — zresztą bez powodzenia. Był nieco zarozumiały, nie śmiał się nigdy, uśmiechał rzadko. Pracowity i obowiązkowy — pozbawiony jednak radości życia. Takiego właśnie, może trochę szkiełko, starałem się pokazać.

Maszyński w wojskowym frenczu prezentował się doskonale. Był dyskretnie nonszalancki, grając bawił równocześnie i widzów i siebie samego. Kiedy zapytałem go,

dłaczego wbrew moim wskazówkom po każdym zabawnym powiedzeniu zaśmiewa się, zamiast zupełnie na serio ciągnąć dalej swoją opowieść — odpowiedział mi tylko nowym wybuchem śmiechu. Ja osobiście, mając za sobą świeże przeżycia wojenne jak i w oczach żywą postać Collinsa, nie mogłem zgodzić się z taką „tyranią śmiechu”. Może ze swojego punktu widzenia ten znakomity komik miał rację — ale z mojego nie.

W „Gazecie Warszawskiej” ukazała się wtedy recenzja, w której dostało się mocno i mnie i Reducie. Z aktorów krytyk chwalił tylko Maszyńskiego: „Z postaci Collinsa stworzył Maszyński arcydzieło gry aktorskiej. Warto zobaczyć tę grę wysoce artystyczną, spokojną, wytworną, silną i niezmiernie sympatyczną”. A sam aktor dodawał: „rola ta bardzo mi odpowiadała i dzięki niej wypłynąłem”.

To było w 1909 r. w Genewie. Do mojego studenckiego pokoiku wszedł wysoki mężczyzna, może 10 lat starszy ode mnie, o dużych oczach i dużej łysinie. Przedstawił się krótko: Perzyński. Palił niemal przez cały czas wizyty. Mimo kawy podanej przez gospodynię, rozmowa nie kleiła się. Powiedział zaledwie kilkanaście nie nie znaczących zdań. Chyba czekał na coś ode mnie — ale cóż ciekawego mogłem wtedy powiedzieć, ja młody student?

Włodzimierz Perzyński nie uśmiechnął się ani razu. Ale jednocześnie coś, co można było wziąć za uśmiech, nieustannie opromieniało mu twarz. Może to niezbyt precyzyjne słowo — opromieniało, bo te promienie nie dawały ciepła. Widocznie mimo wszystko czuł się podczas tej wizyty dobrze, gdyż odpowiedział mi jeszcze kilka razy. I za każdym razem raczej milczał, wydając się z wielkim zainteresowaniem słuchać tego, co ja mówiłem. Opuścił

Genewę ofiarował mi kilka tomików swoich komedii z dedykacją bardzo lakoniczną, jak lakoniczne było jego piarstwo.

W tym okresie ani jego utwory ani Zapolskiej do mnie nie przemawiały. Więcej — bohaterowie nieraz budzili we mnie sprzeciw, a nawet niesmak. Dopiero później zacząłem odkrywać wartości artystyczne, zwłaszcza w pierwszych komediach autora „Lekkomyślny siostry”. Wydaje mi się, że jeżeli komedie Perzyńskiego nie cieszą się dzisiaj zbyt wielkim powodzeniem, to dlatego, że grający je aktorzy nie znają ówczesnych czasów. Myślę, że powinny być grane bardziej dyskretnie, owiane pewną mgiełką melancholii, bez zbytecznego akcentowania ujemnych cech ludzi. Nie można grać Perzyńskiego pod Zapolską. Nie można robić karykatur — i to rysowanych grubą kreską — z komediowych postaci tego rasowego pisarza.

Kilka lat później spotkaliśmy się po raz drugi i ostatni w warszawskiej kawiarni Loursa. Był wtedy jakoś podniecony, chociaż nie pił alkoholu. Bez żadnych wstępów powiedział kilka krytycznych zdań o mojej świeżo wystawionej sztuce. — To wszystko? — wykrztusiłem? Bez słowa wstał i poszedł. Ale znowu coś w rodzaju owego promieniowania pojawiło się na jego twarzy. Kilka lat później jego serce, nadwątzone niespokojnym życiem, nie wytrzymało ataku grypy.

Nie zapominajcie o Perzyńskim! Na jego komedii można uczyć się, jak należy pisać utwory na scenę.

Władysław Rabski był postrachem dla niejednego związanego z teatrem pisarza, dla wielu aktorów. Jeżeli coś lub ktoś mu się nie podobał — krytykował niemiłosiernie. Jego cięte felitony, pisane zresztą z dużą znajomością rzeczy, miały niemały wpływ na karierę krytykowskich i frek-

wencję w teatrach. W chwilach, gdy słaba praca jego umysłu, używał narkotyków.

W związku z wystawieniem „Wojny i miłości” poświęcił mi aż dwa felitony w kolejnych numerach „Kurieru Warszawskim”. Była to ostra rozprawa z młodym debiutantem, trochę już zepsutym pochwałami Osterwy. Najbardziej dotkliwie odczułem zdanie, w którym proponował mi znalezienie wspólnota do pracy pisarskiej — gdyż „ludzie z taką organizacją psychiczną”.

Jestem kiedyś w teatrze. Wchodzi Rabski — duże czarne wasy, ni to pnać się do góry, ni to opadające na dół, ciemne oczy, ubrany na czarno. Zesztywniałem, odezwała się we mnie urażona godność (czytał — pycha). Z daleka zamieniamy ukłony. Przypomniało mi się powiedzenie jednego z znajomych, że dwa felitony Rabskiego to już duży sukces autora.

Nagle Rabski podszedł i — pocałował mnie. Przeprosił za ostrą krytykę i zapewnił, że wkrótce ukaze się jeszcze jeden feliton. I słowa dotrzymał. Pisał, że po ponownym obejrzeniu sztuki wyszedł pod innym niż za pierwszym razem wrażeniem. Jest w tym utworze — pisał — rzecz najważniejsza: „elektryczność teatralna”.

Sądzę, że dziś bardzo mało krytyków zdobyłoby się na coś podobnego jak Rabski. Jego dwa pierwsze felitony, w których na pewno było wiele słusznych uwag, trudno uznać za krzywdę dla pisarza. Może to był trochę za ostry, może zbyt mało pobłażliwość dla debiutanta, w którym nie należało osłabiać wiary w siebie. Miałem tylko żal do rodziny Rabskiego, że ogłaszając drugie dwa pierwsze felitony, a pominęła trzeci. Myślę, że w ten sposób pominięto milczeniem tak bardzo szlachetny i niezwykły postępek.

Rabski umarł w sile wieku. Załowałem utalentowanego krytyka, niewątpliwie pobudliwego, ale umiającego pobudzać do myślenia innych.



# Wymyślne tango

(Dokończenie ze str. 3)

...babcia Eugenia i „wujcio” Eugeniusz, tacy, jakich widzimy i słyszymy, są tylko statystami z nieokreślonego momentu dziejów, nie określonego momentu dziejów, nie określonego momentu dziejów. A na nie oni nie reprezentują. A na nie oni nie reprezentują. A na nie oni nie reprezentują.

zem z Mroźkiem czy wbrew Mroźkowi), że Edek dorósł do roli prawego gospodarza świata. Coś w tym rodzaju sugeruje Grochowiak postacią Człowieka w „Szachach”...

Tylko na początek — pamiętacie? — Człowiek nie może przekroczyć trupa Hrabiego. U Mroźki mamy cudzą, przyciasną marynarkę i tango z pozabawionym zasad starym Eugeniuszem. Snując dalej rozważanie dostrzegamy, iż pokazano nam Edka właściwie na „wczorajszym” etapie. Tym sprzed lat kilku. W końcu „idea” Edka jest przeciw postęp, ściślej mówiąc, ma on instynkt postępu. To, co nieudolnie gładzi o postępie, nie jest w istocie takie głupie, jak by się wydawało. Gdy wykręcimy za obręb „Tanga”, okaże się, że Edek ma już dzieci, które zaczynają realizować jego „credo”...

Danse macabre w finale „Tanga” robi wrażenie bardziej wstrząsające niż widmowy taniec „Wesela”. Otrząsnęliśmy się jednak z makabrycznych przeżyć, skoro przypomnieli sobie, że świat już niedługo raz „wychodził z normy”, a znajdował potem jakiś modus vivendi, niekiedy lepszy od poprzedniego.

JOZEF GRUDA jest wymarzoną reżyserem dla sztuk Mroźki. Szanując znakomite didaskalia autora przekazał dramata widzom w kształcie nie szkodzącym dowolnym, ale precyzyjnym. Stworzył spektakl godny utworu słuszenie uznawanego za wielkie wydarzenie teatralne.

„Tango” otrzymało w Teatrze Osterwy bardzo dobrą obsadę. Oto lapidarnie, co miało o osiągnięciach poszczególnych aktorów. Rola Artura stała się największym w swoim sukcesem ZIEMIA SZEJMANA, a przede wszystkim było zagrać tę karykaturę Hamleta — Hamleta poczynającego sobie z ostrością XX wieku i w końcu żalonym zalanego; wydaje mi się też, że WŁODZIMIERZ WISZNIEWSKI jest wybitny, wymaluj takim Edkiem, jakiego chciałoby się widzieć na scenie — Jowialnym a „wiedzącym swoje”. Stomil (WITOLD LISOWSKI) w swym rozmamianiu za projektowanym przez autora, poruczył o nonkonformizm do statecznie groteskowo; nieodparcie uwodziła, w stylu międzywojennej „ery pułkowników”. Eleonora gra z powodzeniem piękna ELŻBIETA ŚWIECICKA; druga Elżbieta naszego teatru — ELŻBIETA GAERTNER odtworzyła prawdziwie postać naturalnej jak sama przyroda Ali; wia comiea STANISŁAWA OLEJARNIKA znalazła pełne zastosowanie w „bojówkarskich” wyczynach „wujcia” Eugeniusza i wreszcie wręcz kapitalną rolę wesolą babci Eugenia (NINA CZERSKA) — zwłaszcza w scenie błogosławieństwa i na katafalku w I akcie, a przecież powaga jej autentycznej śmierci w akcie III przejmują widownie.

Podyktowane w didaskaliach „rozplamienie, rozmazanie” salonu Stomilów nie zostało przez scenografa (BARBARĘ JANKOWSKĄ) zorganizowane dość artystycznie, mankament ten nie osłabił jednak fascynującego efektu „Tanga”.

Maria Bechezyc-Rudnicka

# od BIEBRZY NO BIESZCZADY

## BIAŁYSTOK

W dniach 2-5 czerwca odbyła się w Białymstoku konferencja muzealna. Mgr Zofia Sokotowska chwaliła o dorobku i perspektywach rozwoju muzeów białostockich, a mgr Danuta Jasknis o Muzeum Okręgowym jako ośrodku badań i upowszechnienia wiedzy o regionie białostockim.

Lidia Orlikowska z poradni kulturalno-osiwiatowej WDK otrzymała dyplom uznania z Federacji Dykuszynnych Klubów Filmowych za propagowanie wiedzy filmowej.

Aż w dwóch miejscach zorganizowano wystawę plastyczną lubelskiego Jeremiego Królikowskiego grafikę w czystym klubie MPiK, prace malarskie w klubie pracowników służby zdrowia.

Na II Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze Paweł Janowski zdobył IV miejsce. Dużym zainteresowaniem wśród słuchaczy cieszyły się też i spektakle Studia Piosenki Radzieckiej ZMS i TPFR, najstarszej tego rodzaju placówki w Polsce. Kierownikiem Studia jest dyrektor Białostockiej Orkiestry Symfonicznej Jan Kulaszewicz.

## KIELCE

Teatr Dramatyczny im. A. Węgliki wystawił sztukę współczesną „Ktoś nowy” Marka Domaskiego.

Członkowie radomskiego klubu literackiego „Konfrontacje” wystąpili z drugim udanym wieczorem autorskim w klubie Domu Esterki. Padła myśl utworzenia teatru literackiego, jeżeli władze miejskie zechcą wyremontować piwnice klubu.

Leszek Drożdż na stałe porzucił piśmiennictwo. Rzeczą już postanowioną: wystąpi w roli głównej filmu „Bokser”, który nakręci reż. Dziedzina z zespołu „Start”. Pierwsze zdjęcia w lipcu.

Z okazji 150 rocznicy powstania w Kielcach Szkoły Akademicko-Górniczej, powołanej do życia dzięki staraniom Stanisława Staszica, odbyła się sesja naukowa z udziałem władz AGH z Krakowa, która jest obecnie kontynuacją staszycowskiej uczelni.

W Zakładowym Domu Kultury w Skarżysku pracują trzy zespoły dramatyczne: dziecięcy, młodzieżowy oraz „dorosły”. Występy wszystkich zawsze cieszą się dużym powodzeniem.

## LUBLIN

W VI konkursie małych form literackich Pax dia i województwa pierwszej nagrody nie przyznano, dwie drugie zdobyli Zdzisław Kukier z Chłama Lub. za pracę „Eliza idzie na dno” i Aleksander Czaplinski z Radomia za „Kapotusz”.

18 sztuk wystawił dotychczas zespół amatorski „Nasz teatr”, działający od 10 lat przy WDR. Ostatnią premierą to „Zielone rekiwice” Tymoteusza Karpowicza.

Ponad 100 obrazów, rysowanych i malowanych przez dzieci z 8 szkół podstawowych z miasta i powiatu, zgromadzono na wystawie w PDK w Zamocisku. Zwiedzających mnóstwo, a niektóre prace rzeczywiście interesujące.

W wyniku weryfikacji zabytów architektury (jest ich w województwie 1.499) trzy zostały zliczone do grupy B: kaplica na Zamku Lubelskim oraz zespoły architektoniczne Zamociska i Kazimierza.

## RZESZÓW

To był dobry pomysł. Z okazji otwarcia wystawy malarstwa, rzeźby i grafiki plastyków rzeszowskich w Domu Sztuki wydano katalog, który zawiera również wiersze 3 członków Klubu Literackiego.

Ponad sto prac szkółom Tyśiąclecia przekazał plastycy Rzeszowszczyzny. Według obowiązującego cennika przedawania to wartość 140 tys. zł. Najwięcej prac (39) przekazał Cezaryusz Kotowicz, kierownik BWA.

# KAZIMIERZ NA ZAKRĘCIE

(Dokończenie ze str. 7)

stycznym? Tymczasem wciąż podąża się go do wspólnego mianownika z wszystkimi innymi małymi miasteczkami, nie robiąc ukłonu w stronę jego artystycznych tradycji.

Letnicy, którzy przyjeżdżają do Kazimierza, od dwóch lat oglądają na drzwiach kamieniczki Celejowskiej tablicę z napisem: „Muzeum w organizacji”. Miejski Dom Kultury, mieszczący się w zabytkowym szpitaliku obok kościoła św. Anny, od roku w remoncie. Obecnie w jednym i drugim budynku przerwaną pracę budowlaną. W domu kultury długo, ze spółdzielnią z Kurowa, która prowadziła remont, po prostu rozpadła się, w muzeum — bo Powiatowa Rada Narodowa w Puławach, która jest inwestorem, nie ma pieniędzy na zapłacenie rachunków. W ubiegłym roku nie wykorzystano limitu. W związku z tym przepadło ok. 150 tysięcy złotych. Pieniądzy się powoli „organizuje” i być może za kilka miesięcy Powiatowe Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane w Puławach zechce wznowić roboty wykończeniowe. Co będzie z domem kultury, nie wiadomo. Na razie przez dziurę w dachu leje się wo-

da i niedługo świeże tynki zaczną porastać nowym grzybem.

W marcu 1983 r. Prezydium PRN w Puławach podjęło uchwałę o utworzeniu w Kazimierzu muzeum. Zaangażowano więc kierownika przyszłej placówki i rozpoczęto remont zabytkowej kamieniczki Celejowskiej. Jaki ma być profil tego prowincjonalnego muzeum, którego opiekunem jest Muzeum Lubelskie, ale prawnym „właścicielem”, dotującym, oraz angażującym i zwalniającego pracowników — PPRN w Puławach?

Na początku mają zostać otwarte dwa działy: etnograficzny i artystyczny (malarstwo związane z Kazimierzem). Z czasem planuje się powstanie działu przyrodniczego (flora okolic Kazimierza) i działu historii. Na razie muzeum gromadzi eksponaty. Pierwszy dział posiada ich 380 (przeważnie tkaniny i ceramika), drugi dysponuje... 12 obrazami.

Oczywiście, Muzeum Lubelskie będzie zawsze służyć pomocą i ratunkiem, opierając się na własnych zbiorach. Ale czy w wypadku Kazimierza ma raczej być proponowana koncepcja muzeum? Czy nie stanie się ono po prostu jeszcze jednym nudnym punktem do odfajkowania dla wycieczek szkolnych?

Dziwnie, że w ciągu tylu lat powstania o roli Kazimierza, o jego malarzkiej tradycji, nie zorganizowano w Kazimierzu ani jednej ciekawej imprezy plastycznej. Kazimierz mógłby stać się salonek wystawowym nie gorzej od Sopotu. Taka chyba powinna być rola kamieniczki Celejowskiej i taka przyszłość Kazimierza. Zamykać się tylko w tradycji nie ma sensu. Ale żeby ukierunkować przyszłość w nawiązaniu do tradycji, trzeba już dzisiaj układać plany rozwoju. Słusznie pisze W. Skul-

śka w „Kulturze”, że władze miejskie nie są operatywne, a ludność mało aktywna. Ale same Azoty Kazimierza nie uratują. Powinny za to stać się sojusznikami akcji aktywizacji Kazimierza przez władze kulturalne. W akcji przekształcenia Kazimierza w centrum nie tylko turystyczne ale i artystyczne. Może w odniesieniu do Kazimierza Azoty wystąpią z równie cenną propozycją, jak projektowany w sierpniu br. plener puławski? Może staną się współorganizatorami festiwalu sztuki, festiwalu muzycznych czy filmowych. Znana jest w tym względzie aktywność i zrozumienie spraw kultury ze strony dyrektora Azotów, Mirosława Kłodzieja.

Na zakończenie warto wspomnieć o interesującym pomysłach Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, przewidującym powstanie w Janowcu „Nadwiślańskiego Ośrodka Kultury i Wypoczynku”. Został już sporządzony wstępny projekt rekonstrukcji i adaptacji janowskiego zamku na wielki dom pracy twórczej. Autorem projektu jest plastyk i architekt Eugeniusz Kwerko. W odbudowanym zamku znalazłyby się pracownia, kawiarnia, bar, sala widowiskowa, biblioteka, sypialnia. Obok — obszerny amfiteatr na wolnym powietrzu. „Nadwiślański Ośrodek Kultury i Wypoczynku” pełniłby jeszcze inne zadania: m. in. koordynowałby prace okolicznych placówek kulturalnych i spójnił częściowo funkcję miejskiego domu kultury. Ponadto zamu zaprojektowano osiedle czasowe. Na przykład dla pracowników pobliskich puławskich Azotów, niezależnie od ich domu wypoczynkowego w Kazimierzu. W najbliższej okolicy projekt zakłada stworzenie wielkiego zalewu, specjalnie dla ośrodka czasowego.

Od wielu lat jest Janowiec ubogim, zagubionym na lewym brzegu Wisły miasteczkiem. Mimo że leży prawie na przeciw Kazimierza, oddzielony od niego tylko korytem Wisły. Łącznie z Kazimierzem mógłby stworzyć właściwie pojęte centrum kulturalno-wypoczynkowe. Droga na Janowiec powinna też pójść inwazją części niedzielnymi wycieczek. Z roku na rok stają się one coraz dokuczliwsze dla Kazimierza. Co warto sobie uświadomić u progu sezonu.

Mirosław Derecki

# PLASTYKA

# Malarstwo inne

DWA lata temu pokazano w Lublinie fragment wielkiej międzynarodowej wystawy malarstwa dzieci, zorganizowanej dzięki inicjatywie UNESCO. Niedawno w salach BWA oraz na Placu Litewskim urządzono ekspozycję malarstwa uczniów szkół podstawowych Lubelszczyzny; pierwsza z nich była rezultatem konkursu „Czechowicz w oczach dziecka”, natomiast druga wiązała się tematycznie z Milenium. Pomiedzy tymi trzema wystawami nie można było dostrzec żadnej różnicy jeśli chodzi o język plastyczny. Deformacje, uproszczenia i redukcja fragmentów przedmiotów do znaków, przewaga linii nad plamą barwną, zaskakujące zestawienia kolorystyczne, wykluczające jakiegokolwiek reguły, plastyczność kompozycji — oto podstawowe i wspólne cechy formalne tego malarstwa.

Młodzi Polacy, Włosi, Rosjanie, Szwedzi i Francuzi, wychowani w odmiennych środowiskach społecznych, w różnych szkołach, klimatach, otoczeni innymi przedmiotami, stosowali identyczne środki plastyczne, podobnie reagowali na nieograniczone bogactwo otaczającego ich świata. Intuicyjnie, po omacku szukali klucza do rzeczywistości przedstawiającej kilkuletni zasób poznania. Dlatego właśnie operowali schematami mniej lub bardziej złożonymi w zależności od wieku, które były plastycznymi symbolami pojęć. Cała wymowa tej sztuki i jej urok mieszczą się więc w kształcie, linii i kolorze. Osobne analizowa-

wanie treści jest w tym wypadku nieopracowane i chyba niemożliwe.

Pozanawczy stosunek do rzeczywistości i uniwersalizm zbliżają malarstwo dzieci do sztuki nowoczesnej, której główny nurt rozwija się dziś w dalszym ciągu i w różnych krajach na zasadzie intelektualnej. Ta wspólnota ujawnia się czasami w innej postaci. Kilka lat temu pewien nauczyciel warszawski, badający upodobania estetyczne młodzieży szkół podstawowych, zaprowadził grupę dzieci na związkową wystawę okręgową. Okazało się, że malarstwo realistyczne czy nawet bardziej zbliżone do natury nie zwracało uwagi dzieci, które z zainteresowaniem komentowały obrazy niefiguratywne i operujące formą przedstawieniową lecz syntetyczną.

Wspólnota języka plastycznego u dzieci różnych narodów, wynikająca z określonej świadomości, nie jest zjawiskiem wyjątkowym. Elementy podobne odnajdziemy także w sztuce ludowej i prymitywnej, bez względu na rasę, kontynent i wierzenia religijne. Oczywiście, ikonografia rzeźby murzynskiej i rzeźby ludowej Podhala niewiele posiada wspólnych momentów, co jest zrozumiałe wobec odmiennej motywacji ideowej. Niemniej jednak metody tworzenia jednoczą te obszary geograficzne w pewną całość.

Na początku czerwca w warszawskim Domu Artysty Plastyka otwarto wystawę „12 malarzy najszybszych z Brazylii”. Przypomniła ona wystawę polskich malarzy „naiwnych”, urządzoną w roku 1965 w Warszawie pod nazwą „Inni”. Poszczególne prace Brazylijczyków można by umieścić w sąsiedztwie Nikifora, Michałowskiej, braci Wróblów... Pomimo że obrazy brazylijskie uderzają swoją egzotyką, przedstawiały twarze o rysach, które kierowały uwagę w stronę południa. Zasada twórczości była jednak wspólna i ujawniała się całym zespołem wspomnianych już na początku cech formalnych.

Oto Manuel Faria Leal, 27-letni mieszkaniec Rio de Janeiro. Po wypadku ko-

lejowym przez dwa lata przebywał na leżeniu. Maluje olejem na papierze „Szpital”. Dokładnie prowadzi kreski, dokładnie poznaje układ szpitalny wewnątrz i rekonstruuje go na powierzchni papieru. Nie dba o perspektywę, o proporcje człowieka i przedmiotów. Tworzy opowieści umiające swoistą poetykę.

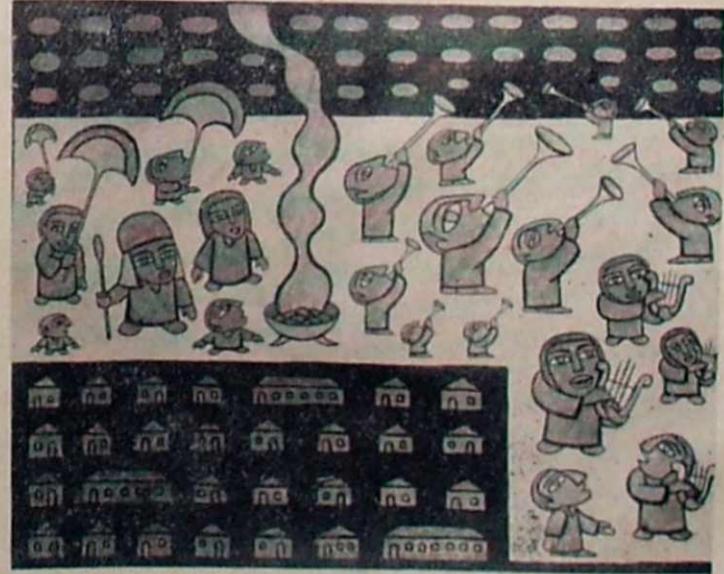
Francisco da Silva reprezentuje generację r. 1910 i bodaj najbujniejszy temperament artystyczny, wyrażający się w tendencjach dekoracyjnych, co nie jest sprawą czystego przypadku. Ten Indianin zanim dostał się pod opiekę szwajcarskiego artysty J. P. Chabloya, dekorował kredą i węglem chaty rybaków. Związany z ciągłym kontaktem z naturą, maluje fantastyczne wizje ptaków, ryb i węży. Na rozdzieranych pasmami kolorów gwałtownie walczą nierealne stwory o skrzydłach wymalowanych w korony przypominające... ogrodowe strotkroki. Osobliwym przypadkiem inspirowania się wydarzeniami odległej Europy jest „Bitwa pod Verdun”, najstarszego uczestnika wystawy, urodzonego w r. 1931 Paula Pedro Leal. Niektóre twarze walczących żołnierzy przypominają ludzi znanych z obrazów Roussau! Jeden z czołgów ma wygląd zepsutej tenisówki, a na murach zburzonych budynków wid-

nieją, widocznie dla większej jasności, napisy „Verdun”.

Obok wspólnej dla sztuki naiwnej wszystkich terytoriów i narodów zasady organizacji formalnej dzieł, wynikającej z predyspozycji psychicznych, z postawy wobec świata, istnieje przecież cechy wyróżniające twórczość poszczególnych grup etnicznych. Brazylia, będąca konglomeratem ras i narodów, religii i obyczajów, jest niewyczerpanym i wielowarstwowym źródłem inspiracji, a jako taka wydaje twórców bardzo odmiennych. I właśnie ta różnorodność charakteryzuje sztukę naiwną tego kraju.

Takie określenie może spotkać się z zarzutem względności i małej przydatności informacyjnej. Oczywiście, ale warto je sobie przypomnieć przed plakatową „rakieta kosmiczną” Valdomiro de Deus Souza (ur. 1944 r.), niedaleko której znajduje się biblijny „Nehemie odbudowujący mury Jerozolimy” Raimundo de Oliveira.

Kam.



RAIMUNDO de OLIVEIRA — Nehemie odbudowujący mury Jerozolimy. Fot. Andr. Moran

# »KAMENA«

Pismo lubelskie oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Miłkowski.

Prezidentem redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka”), ul. Wesolowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu”), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26, RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie”), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49.

Zam. 2118, 13.VI.86, L-4.

Polemika

Poeta napisał wiersz pt. „Proba”...
rosną wadliu
a wazera się kurczą
neodderalozcy
elektrownicy
na grzynie kompot
ze sliwek
alegoria larwy
bielinka kapuśniak
bielka przeciara

Wiersz wydrukował tygodnik „Krynica Literacka”. Poeta zniknął 200 złotych...
W następnym numerze „Krynicy” krytykę (nawet jeśli „pierwszym” zajął się oceną wiersza „Proba”):

Wiersz — pisał pierwszy krytyk — wnosł niewątpliwie nowe elementy poznawcze. Już zresztą rok temu przepowiedziałem wielką przyszłość Jego autorowi. Nie obeszło się jednak bez pewnych, groźnych zresztą, potknięć. Autor, niezbyt konsekwentnie zdeterminował bielinka-kapuśniaka jako immanentną więź swą introspektywną i struktury psychicznej.

Chciałbym wiedzieć, co właściwie myślał poeta, pisząc, że „uwielakratnia się przecierałami bielinka-kapuśniaka”.
Notkę recenzyjną, z względu na trudną sytuację finansową autora, wyceniono na 100 złotych.

W jednym z dalszych numerów „Krynicy Literackiej” sprawą wiersza „Proba” zajął się drugi krytyk:
„Nie od dziś — pisał — znamy nierafinowany sposób oceny naszej poezji przez niektórych bawerskich. Tylko laik i zupełnie ignorant może przypaść, co właściwie myślał poeta, pisząc, że „uwielakrat-

Krucjata

Najpiętni krzyż rzuca hasło: Czas odszczurzać miasta! I wnet już pynie literawa kobyłysta.

Ruszają katolicy, z nimi — ateści, a każdy gromko woła, by pinięce czyścić.

Pisze prasa ludowa, pisze „Głos Pszczelarza”, „Echo Grójca” w bój rusza, radio się odgraża.

I coraz to znacniejsze włączają się pióra, aby tamtym pomógł, by wspólnie coś wskórać.

Gdy kampania osiągnie zenit swoich lotów — każdy mistrz do polemiki wtedy jest już gotów.

Ktoś znowu musi zacząć podważać czyż wywód, i podać swoją wersję, jedynie prawdziwą.

Wnet listy do redakcji piszą szczerolodcy, aby od dyktanta godnie się odgrodzić.

Krzyżują się terminy, perli się łacina, i ktoś coś prostuje, ktoś komuś docina.

Błyskawicznie i swada błyszczy tu nad podziw, choć czytelnik już w końcu nie wie, o co chodzi.

Odważniejsi — prócz szczerów — pragną zwaizczać mistrz, aby przy tej okazji komuś łatkę przyszyć.

Mnożą się „osiwiadczenia”, erraty, cytaty, lecz, o zgrozo, historia nie kończy się na tym!

Bo teraz czas przychodzi na „podsumowanie”, oraz na zgadywanie tego, co się stanie.

Gdy redakcje dziękują „za wzięcie udziału” — znak, że cała krucjata kończy się pomalu.

Finalny byłby towarzyski gdyby nie szczerzy! Zwiąż nadal, ze śmiechem dostając raptury.

Odpowiedzi Redakcji

S. W. w Białymstoku. Pisze Pan: „Proszę o ocenę, ewentualnie publikację”. Publikujemy fraszkę pt. „NA JEDEN Z BIALOSTOCKICH LOKAL”. „Fryzury, orlon, perlon, sex appeal z splendor miasta w rękach”. „New Herald” — w dół w stronę Hłówek widać stą A naród studentki jak Rydel chadza często bez gaci Kobieta puchu marny: kto ci tyle zapłaci?”.
M. N. w Oporówku. Prosi Pan uprzejmie o publikowanie na łamach „Kamenu” swoich utworów. Czynniki zażądaj tej prośbie, wybierając kilka fraszek. „O HOZPUS-CIE”: „Kaźda rozposta ma in-ne usta”. „NIEPAMIĘTNA ZBRONIA”: „Jak świat światem to nikt z nas nie pamięta, aby istnieć zarabiała sięga”. „NA JEDNEGO KAWALERA”: „Ludzi nie będzie z niego mimo... miłość... bliźniego”.
J. M. w Bronowie. Aby „przemiec” dzwierzynny drukujemy w tej rubryce Pana „fraszki”: „Używaj dzwierzynno światła, gdy słysz ci miodoci łała. Kiedy stara be-dzieta, niktogo nie posiadziecie”.
W. H. w Zamocisku. Prosi Pan kilka wierszy. Pisze, że

Z ŻYCIA WZIĘTE

Koniec roku

WCZORAJ po południu przyszedł syn ze szkoły i powiedział:
— No tato, pociesza rodzina. 14 czerwca koniec roku.
Wkrótce potem przyszła córka. Wiadomość się potwierdziła.

— Macie szczęście — poinformowała mnie i żonę. — Już kazali książki sprzedać.

Istotnie, nie możemy narzekać. Jeszcze niedawno, mówiono, że rok szkolny został przedłużony i zakończy się najwcześniej 30 czerwca. Jeśli chodzi o mnie i moją żonę, to nie byłoby tym zbyt smutnym. Gorzej było z babcią, bowiem każdy dzień nauki mógł się fatalnie odbić na jej zdrowiu.

Modzina nasza traktuje naukę dzieci bardzo poważnie. Zaczęło się, oczywiście, od chwili, gdy syn poszedł do pierwszej klasy. Na uroczystym rozpoczęciu roku przedstawił dyrektorkę powie-dział, że bez pomocy rodziców szkoła niczego nie osiągnie w wielkim dziele wychowania młodego pokolenia. Zrozumielismy to już po pierwszej lekcji. Była powo-żona i rozkładając książkę od rachunków ręk: — Pan powiedział, żeby mi tato albo mama wytłumaczyli, jak się to robi i potem nauczyli mnie szlaka. Co było robić. Podzieliłm

MINUTA MYŚLENIA

Szeroki gest

CECHA narodowa, nie mająca żadnego usprawiedliwienia, jest nasza biedniacka rozrzutność. Trafnie i lapidarnie określa to znastaw sie”. Żadnych hamulec, żadnego opamiętania. Na co dzień żyć w biedzie, ale od wielkiego dawno hulaj dusza, trzeba zamakować pełni życia, wszelkich jego uciech i dobrodziejstw. Bez oglądania się na przyszłość. Ten fanfanonowy gest beztrosko przenosimy z rodzinnego podwórka na publiczne forum. Jesteśmy krajem na dorobku. PKO uczy oszczędzania i chwala mu za to. Ale dotychczas zdolano nas jedynie przyzwyczaić do zamiany pocztychy na bezpieczniejsze i bardziej korzystne miejsce przechowywania grosiwa. Jednakże są to zaledwie pierwociny oszczędnego gospodarowania. W tej dziedzinie potrzeba czegoś więcej: systematycznej i rozsądnej gospodarki wszelakim dobrem, także społecznym.

Podobnym paradoksem nie brak również w kulturze cierpięcej przecież na chroniczne niedomogi finansowe. Władze powiatowe z roku na rok ograniczają budżety placówek kulturalnych, skąpią na zakup książek do bibliotek, po kilka lat zwiekają z podwyżkami

BIG-BEAT

Drobiazgi i drzazgi

PANIE Redaktorze! Ale upalił Jak Pan znowu tę temperaturę w ciasnym lokalu na Granicznej! RSW Prasa na pewno nie ma funduszy na zastalowanie urządzeń klimatyzacyjnych...
Wróciłem właśnie z Kiełca. Zachwylił mnie kapitalny remont dworca kolejowego. Nisza na do-słownie nic! Stary dworzec zre-brano do fundamentów, nowy — przepaszam, wyremontowany — dworzec ma stanąć w ciągu dwóch lat. Taki remontik przy-dalby się i w Lublinie, ale my mamy więcej cierpliwości niż

między się obowiazki i zorganizowaliśmy pomoc dla szkoły. Znowa postanowiła odrabiać zadania rachunkowe, ja wzięłam na siebie rysunki, babcię zaś o-barczyliśmy wszelkimi babkami pracami ręcznymi. Poczatkowo słoń nam nieśli. Zastosowaliśmy pewnego rodzaju system taksow-owy. Znowa obliczając np. ile jest 2 dodać 3, syn to ładnie wypró-wał do reszty, a ja robiłam szlaczki, rząd rybek, grzybków, albo talpanów. Najbardziej lubi-łem szlaczki w trójkąty i kwad-raty. Bardzo dzielnie sekundo-wała nam w tym babcia. Jej wy-szywanki zdobywały zawsze same piątki. Doszło do tego, że nau-czyciel stawiał naszą rodzinę za wzór całej klasie. Nie więc dziw-nego, że pierwsze świadectwo, ja-kie otrzymał nasz syn, uprawilo nas w zasłużoną dumę.

Kiedy naukę rozpoczęła córka, my już odrabialiśmy trzecią klasę, a ona była na wycieczce. W po-mocnik sobie zdobyte przed dwoma laty doświadczenia, a jednocześnie nie dopuścić do ob-niżenia lotu przez naszego syna. Znowa wzięła dodatkową fizykę, ja przerabiałam i język polski, babcia zaś pozostała przy syciu. Nasze dzieci ciągle nam przypominają, że nie powinniśmy dać się przeciągnąć i przez ro-dziców ich koleżanki i kolegów. Wielogodzinny wieczór pomyś-łom siostrze, znowa wzięła kore-petycję, ja zaś poszedłem na krótki kurs do pracowni stolar-skiej. Nie dopuściliśmy do ob-niżenia stopni. Utrzymałm

Ten rok był jednak najbardziej wyczerpujący. Reforma szkolna wprowadziła wiele zmian do szkolnictwa. Roz-szerzył się program matematyki, fizyki i biologii, wrosła liczba godzin przeznaczonych na poli-technizację. Uczeń miał pracować więcej w szkole, aniżeli w domu.

pensji bibliotekarzem, którym zgodnie z obowiązującą sjątką plac służnie się to należy, nie mając na remonty i budowę lo-kali, na działalność oświatową i ruch amatorski. Na wszelkie al-army bezradnie rozkładają ręce. Nie ma pieniędzy. Ale znaj-dują się czasem nawet znaczne sumy na opłacenie dzikich respo-litków prezentujących programy graniczące ze szmira. Za pienią-dze na cele kulturalne wyprawia się doznaki, choinki i inne okolicznościowe uroczystości z mniej lub bardziej wytwornymi przy-jęciami. Zakorzenili się u nas dwie opaczne tezy. Pierwsza głosi, że kultura „zalatwa się” wy-lączenie wystrzałowymi i krzykli-wymi imprezami. Druga zaś do-tyczy oszczędności w gospodaro-waniu pieniędżnym. W jej cieniu wykwiła szkodliwe i nieprzemys-łalne skąpstwo. Byłe tylko okre-ślona suma pozostała w kasie. Tym, że za myślnie pojmaną oszczędność przyjdzie kiedyś dro-gę zapłacić, nikt się nie prze-muje. W efekcie na mało warte-cioświe i nie zawsze potrzebne imprezy wyrzucza się grube ty-siące, a jednocześnie skrupulat-nie przestrzega się, by do bibli-oteki nie kupować dwóch egzem-plarzy tego samego tytułu, choć-by istniały ku temu uzasadnione powody, nie subakryżnie się Wielkiej Encyklopedii, ogranicza się spotkania autorskie. A wszystko po to, by zaoszczędzić 200, najwy-jżej 300 złotych.

Odczuwamy w kraju dotkliwy brak pomieszczeń kulturalnych. Każdy nowy dom kultury powin-nie być mieszkalny. Czy rzeczywiście? Wielkie miasteczko Tyżyn w powiecie rzeszowskim po ciągnię-ciu się przez 8 czy 10 lat — tego już nikt nie pamięta — budowie otrzymało wreszcie dom kultury. Piękny i okazały. Mieści się w

kieleczanie. No i chyba brak nam odważnych...
A w ogóle w Kiełcach zwróci-łem uwagę na kilka uroczych dro-biazgów. Oto bar młeczny koto-biazgów. Biorę z lady butelkę z ke-firami. Kajerka oblicza... — Pla-cił pan 3,20 zł. — Jak to — pytam — za kefir 3,20 zł? — Nie za ke-fir, tylko za śmietanę. — Zaraz, proszę pani, ja wymlenie, nie lubię śmietany. — Już nie może pan wymlenie, bo ja zaborowa-łam. Musiałabym dopłacić z włas-nej kieszeni.

Inny obrazek. Bar szybkiej ob-sługi przy hotelu Centralnym. Specjalność zakładu: biała kieł-basa z cebulką. W ciągu trzech dni tej „specjalności” nie mog-łem pokosztować. Po prostu nie było w szafadzie.
Gdy rano wracam do Lubli-ny, wpadłem do biura na dwa-dziennie autobusowy. Do odjazdu au-tobusu pozostało 5 minut, bilet nie mogłem więc nabyć tylko u konduktora. Tegawa pani, która siedziała przed wleściem na pe-ron, zażądała peronówki. — Pro-szę pani, przecież niktogo nie od-nawoządzam, zaraz knule silet u konduktora. — Nie szkodzi, ale musi być peronówka. Inaczej pan nie wejdzie.

Autobus sprzątał peronów-ki oczywiście był popyty... Kochane Kiełce! Szkoda, że nie ma alkoholu. Takiego wyboru, jaki zauważyłem w kieleckich

Hogowachne skutki reformy...
odrzucił natychmiast całą naszą rodzinę. Nie wiem, czy dzie-łom więcej pracy w szkole. Na pewno więcej miał jej nauczy-ciele. Poczuli zadawał do domu całe litanie zadań zapominając przy tym czasu wyhumaszę-dzielił nowe pojęcia. W domu zrobiło się piekło. Kupiłem zo-nio „Matematykę dla kandyda-tów na wyższe uczelnie”, sobie „Fizykę” i „samoczek” francu-zkiego. Powoli zaczęliśmy do-wać sobie radę, z rozszerzonym pro-gramem, nawet nauczyciele to zauważyli i nie omieszkali prze-kazać nam tego na wywiadówce. Widzieliśmy, że inni rodzice za-droszają nam naszych zdol-ności i postępów w opanowaniu nowego programu nauczania.

Gorzej jednak było z pracami ręcznymi. Karatorium postanowi-ło organizować stałe wystawy prac uczniów, aby pokazać po-sięgi polityczne. Był to do-datkowy bodziec dla szkoły. Wy-magania rosły z każdym dniem. Z synem nie było w zasadzie większych kłopotów. Jego nau-czyciel był widocznie tradycjo-nalista i nie miał zbyt wygó-ro-wanych wymagań. Nie wiem, wprawdzie, co robił on z uc-zniami na zajęciach praktycznych, ale łatwo nam przychodziło za-mawianie w warsztacie stolar-skich i blacharskich takich dro-bizgów jak półka, łopata, pod-stawa do żelazka czy szablki. Za to babcia miała za swoje. Nau-czycielka córki tak się przejęła politechnizacją, że postanowiła nauczyć dzieci najtrudniejszych rzeczy. Co tydzień więc przy-chodziła córka z nowymi zada-niami. Robimy kolnierzyk z kołnierza — oznajmia. — Jaki kolnierzyk? — pytałm. — Nie wiem, pani kazala przynieść na następną lekcję gotowy. Innym razem trzeba było przynieść far-tuch i niebieskiego materiu, pantofle z filcu, sweter... Przy-

nim duża, na 350 miejsc sala wi-dowiskowa z galerią i scena, bu-fet, szatnia, kasa, pokój kierow-nika oraz dwa hale. Są w nim jeszcze dwa niezbyt duże poko-je. Pierwotnie zamierzano prze-nieść do nich bibliotekę, gnieź-dzącą się z 3 tysiącami tomów w starym lokalu posklepowym, gdzie trzech na raz czytelników nie mogło się pomieścić. Teraz, gdy dom kultury już stoi, spo-strzeżono, że brak w nim miej-sca na codzienną pracę. Gdzie w takim domu przeprowadzać próby zespołów artystycznych, działalność oświatową, czym ścigać starych bywałców? Wo-hec tego bibliotekę przeznaczono tylko jedemu pokój, a drugi ma służyć jako sala gier, zebrań i prób. Znajdą w nim schronienie zespoły i kółka, tu wreszcie bę-dzie kat dla organizacji społecz-nych i pracowników. Tyżyn za-miast domu kultury otrzymał je-dynie salę widowiskową, do któ-rej raz, a może dwa w miesiącu zawita teatr lub zespół estrad-owy. Czy w tym wypadku wysiłek finansowy nie został zmarnowa-ny? Pytanie retoryczne. Kto za to ponosi odpowiedzialność?

Tyżyn nie stanowi wyjątku. W PRL stoją mury dziesiątków, setek rozpoczętych obiektów kul-turalnych, na których dokonanie zabrakło pieniędzy. W więk-szości są one podobne do tyżyn-skiego. Fundamenty powiatowego domu kultury, którymi tak szczy-ści się Łańcut, rokowały nadzieję, że miasto dorobi się w końcu ob-iektu kulturalnego na codzienny użytek. I tu jednak raziłaby fa-sadowość. Jedno skrzydło budowy, które ma służyć jako sala widowiskowa, drugie zajęł miasto biblioteka powiatowa cier-piąca na chroniczną ciasnotę. Ale w Łańcutcie też zapomniano o pomieszczeniach na zwyczajną pra-

ce. Pomyśleć dotrzeszono jeszcze przed wybudowaniem obiektu. Rezultat? Już dziś wiadomo, że do domu kultury nie wpuści się biblioteki. Pozostawia się ją bez żadnych perspektyw, bez jednego wolnego metra na dostawienie półki dla nowości, w sytuacji gro-żącej zawaleniem stropu. Doku-mentacja domu kultury kosztowa-ła grube tysiące. Przy jej ak-ceptacji nie uczestniczyli ani przyszli użytkownicy ani znawcy z województwa. A przecież o wie-le taniej kosztuje gotowy plan typowy. Łańcut jednak miał am-bicje daleko przekraczające jak-ikolwiek standardy czy stereo-typy.

Dotyczy rozrzuć gest dotyczy spraw prywatnych poszczególnych ludzi czy rodzin — można spog-łądać mań z uśmiechem. Gdy jednak zaczyna się wydawać wie-ści, żebrane od społeczeństwa czy cierpiane z kas państwowych, należy skłonić z pobłażaniem. Podejmujących ryzykowne de-cyzje winno się obarczać konkretną odpowiedzialnością. Wypadków z Tyżyną i Łańcuta nie da się skwitować formułą „trudno — stało się”. Ktoś powinien za nie ponieść właściwe konsekwencje. Zatwierdził przecież budowę do-mu kultury, którego w zasadzie nie ma. Zmarnował pieniądze i zaprzepacił jedyną szansę. Budynek, nawet najwspanialszy, mieszczący tylko salę widowisko-wą, nie jest jeszcze domem kul-tury i nie ma powodu go tak nazywać. Czas wreszcie skończyć z rządzonym marnotrawstwem, czas wyżyć się kompleksów przest-anianych monumentalnymi, nie-funkcjonalnymi obiektami, a ską-pymi środkami gospodarować z rozmysłem oszczędnie i możliwie maksymalne efekty.

V. Y.

chciałbym, aby dziennikarze byli w mieście nad Bystrzyką trakto-wani jak piąte koło u wozu. Gdy trzeba napisać sążnity referat, przemówienie, zaadresować pracę magisterską, opracować bro-szurę, biuletyn — spostrzeże się tego dzienikarskiego robotła. Szkoda, że tylko wtedy... Chciał — muszę zastrzec — nie mam na myśli Prezydium WRN, ale to już zapewne osobista zasługa Jego przewodniczącego.

Będę kończyć — nikt w lecie nie lubi czytać „kobyli”. Widzę zresztą, że w kioskach leżą nawet chodliwe magazyny. Ciekawe, czy w okresie letnim „Ruch” dokona przetrwał? Przed rokiem byłem w Międzyzdrojach. Rano zająłem miejsce w kolejce przed kioskiem. Obliczyłem: przede mną stało 22 klientow. Każdy z nich, niezależnie od papierosów, olejków do opalania etc., kupował czasopi-ska. Kiedy zbliżyłem się do okienka, była już tylko szczenińska prasa. Cenę już bardzo, ale nie chciałbym ograniczać swej lek-tury tylko do „Głos Tygodnia”. Te uwagę niniejszym de-dukując dyr. Wencukowi z „Kra-cińskiego „Ruchu”, i nie tylko jemu...

Jacek
Dziennikarze nie znaleźli uzna-nia w oczach wysokiego jury de-cydującego o nagrodach. Nie mo-ją rzecz, zapewne mądrzejsi de-batowali. Nie sądzę, żeby mi był żaden dziennikarz lubelski nie był żaden odznaki Zasłużonego dla miasta Lublina (10 złotych i 14 srebrnych odznak) przyznano po-szczególnym osobom na wspomi-nanej sesji. Dziennikarze mogą się pocieszyć tym, że los litera-tów jest podobny. Ale ich jest mniej...
Panie Redaktorze, zrzedzę jak stara ciotka. Ale naprawdę nie

CORAZ DZIWIWSZYSZĄ obyczaje Sarmatów. Jak pisze kie-leckie „Słowo Ludu”, zarząd jednej z gminnych spółdzielni powołał się zbieżką urlozu i umiarko-wania w tym piśmie. Gdy zwykle dochodzenia nie potrafiły wykryć autora listu, GS wyznaczyła nagrodę za jego dekonspirację w postaci jednego litra wódki. Nie sprzecywowano tymko, czy chodzi o eksportowa czy o taką z czerwona kartka.

W TYM SAMYM numerze „Słowa Ludu” (4 czerwca) B. Bur-kiada sądził okablowania odkrywcę pytanie znanemu dzien-nikarzowi Karolowi Malczyńskiemu: „Panie redaktorze, słyszalem, że pan co teraz pisze?”

„DLA ODWAŻNYCH”. Takim czerwonym tytułem zaopatrzył „Świat” (nr 23) stronę, na której zamieścił tylko 4 zdjęcia. Na wszystkich kociaki w dość skąpych strojach kąpielowych. Czy rzeczywiście tylko dla odważnych?

NIC DZIWIWEGO, że po obejrzeniu takich i podobnych zdjęć, a także po rozglądnięciu się po zrywim świecie, nasza „pre-żsiość narodu” nabiera erotyczo-ordynarnej obsesji. Dowodem tego także oto okablowania w opowiadaniu (?) „Banda” Siani-sław w dodatku młodzieżowym „Kow-trpunkty” do „Kuriera Lubelskiego” z 18 czerwca: „Młocze, ty kurewskie nasienie”, albo „Ty, do kurwy nędzy”, Komen-tarze zbyteczne. (d)

NOTY

GRATULUJEMY! Albowiem aniliśmy się spostrzegli, jak nasz redakcyjny kolega Zygmunt Mikulski, przez oddział lubelski Związku Literatów Polskich, awansował na prezesa ZLP. Tak przynajmniej wynika z notki „Rozstrzygnięto konkurs”, zamieszczonej przez „Kuriera Lubelski” 13 czerwca. Na co z łaskawieściami?

Zresztą i nam przytrafiła się gafa. Administracja nie chce (?) kupić redakcji atlasu i w rezultacie w kronice „Od Białej do Hirsztady” z 31 maja przedmieniłm

NIECH ŻYJE dokładna informacja! Według „Kuriera Pol-skiego” na VI Kalkich Spotkaniach Teatralnych wszystkie na-grody — z wyjątkiem jednej — zdobył Teatr Polski z Pozna-nia. Według „Trybuny Ludu” natomiast odwrotnie — tylko scenograf tego teatru. No i jak to było w rzeczywistości — bądź mądry.